EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 września 1938 r. Nr 25 (128)

Niestrudzonym siewcom gdy do siewu stają

Piętnaście lat temu pisał Stefan Żeromski: „W dziale oświaty Polska czyni kroki ogromne. Gdy za panowania moskiewskiego w b. Kongresówce było dwa tysiące szkół (z wykładem rosyjskim), już dziś Polska zjednoczona ma z górą 50 tysięcy nauczycieli szkół powszechnych, a zdąża do wprowadzenia nauczania powszechnego, co wymagać będzie stu tysięcy nauczycieli. Za czasów rosyjskich na terenie b. Kongresówki było ośm seminariów nauczycielskich, dziś jest czterdzieści cztery państwowe i dwanaście prywatnych..."

Notując skrzętnie wszelkie, drobne nawet i niepozorne osiągnięcia, rejestrując różne Zgierze, Koła i Kraśniki, w których „rozpoczęła się już budowa" szkół powszechnych, radował się wielki pisarz, bo przecież „Polska odrodziła się ze krwi i pracy męczenników po to, żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli, rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu".

Gdy dziś, po latach piętnastu od napisania tych entuzjazmem i gorącą wiarą tchnących słów, a po dwudziestu od chwili powstania pierwszego rządu odrodzonej Rzeczypospolitej, rozejrzymy się wokoło — cóż zobaczymy?

Analfabetyzm szeroką falą rozlewa się po ziemiach Polski. Nauczanie powszechne nie zostało dotąd wprowadzone: daleko nam jeszcze do cyfry stu tysięcy nauczycieli — choć tysiące ich oczekują od lat na posady, za to setki tysięcy dzieci pozostają poza murami szkoły, która ich pomieścić nie może, setki tysięcy poprzestają na trzech czterech latach nauki. Nie ma przedszkoli, nie ma dla milionów młodzieży pracującej szkół dokształcających. Szkoła powszechna — najważniejsze, podstawowe ogniwo systemu szkolnego, fundament kultury narodowej — pracuje w warunkach tak ciężkich, jak w żadnym bodaj innym kraju cywilizowanym, wyjąwszy przedrewolucyjną Hiszpanię. W nędzy jest szkoła, w nędzy nauczyciel.

Jakże ma się spełnić marzenie Żeromskiego o „nowej, nieznanej", kulturze nieszlacheckiej, którą stworzyć mieli „synowie chłopów, ukończywszy studia" — skoro ci synowie chłopów nie tylko studiów nie kończą, ale nawet do gimnazjum dostać się nie mogą? Podwójna zapora: cenzusu sześciu klas szkoły powszechnej i kilkusetzłotowego czesnego, zagradzająca dzieciom robotniczym i chłopskim dostęp do szkoły średniej, nie tylko skutecznie chroni nas przed „niebezpieczeństwem" powstania tej nowej kultury, ale i ułatwia i przyśpiesza likwidację zdobyczy kultury dotychczasowej — bo dzięki tej zaporze właśnie nasze uniwersytety z ognisk wiedzy przekształcają się w fortece nowoczesnej ciemnoty i barbarzyństwa.

W praktycznej realizacji reformy szkolnej, podjętej przed kilku laty pod hasłem „demokratyzacji" oświaty, zatarły się niemal bez śladu — dzięki nieustającemu „brakowi środków" — jej strony dodatnie, tym bardziej natomiast uwypuklił się jej istotny sens reakcyjny: dalsze obniżenie poziomu szkoły powszechnej i pogłębienie przepaści, dzielącej warstwy pracujące od szkoły, od kultury.

Jeśli dzisiejszy stan oświaty w Polsce nie jest tak odegły od stanu z przed lat dwudziestu, jak być powinien, jeśli ogromny wkład entuzjazmu i wysiłku twórczego z pierwszych lat niepodległości po-

szedł w znacznej mierze na marne, jeśli nie dał tych wyników, jakie dać mógł, wieloletni ofiarny trud nauczycielstwa — któż jest za to odpowiedzialny?

Nie trzeba wskazywać palcem — wiemy, komu rozwój oświaty jest solą w oku i kością w gardle, kto wytężał i wytęża wszystkie siły, aby nie dopuścić do rozproszenia mroków nad Polską, aby utrzymać w swoich rękach monopol posiadania i rozdzielania wiedzy.

Przywilej oświatowy stoi na straży przywileju posiadania — utrzymanie monopolu wykształcenia jest jednym z najskuteczniejszych środków zabezpieczających trwanie istniejących przedziałów społecznych. Wstecznictwo wie o tym doskonale — a nie lubi ono zasypiać gruszek w popiele. Dlatego „brakowało" i wciąż jeszcze „brakuje" pieniędzy na realizację powszechnego nauczania, na budownictwo szkolne, na etaty nauczycielskie, na walkę z analfabetyzmem, na szkołę dokształcającą, na bezpłatność szkoły średniej. Dlatego w parze z realizacją wstecznych tendencyj ustrojowych postępuje nasycanie reakcyjną treścią programów nauczania i wychowania, nawrót do reakcyjnych metod wychowawczych, dlatego nauczyciel nie tylko żyje w nędzy materialnej, ale jest coraz bardziej krępowany w swojej pracy szkolnej i działalności poza szkolnej, w zakresie swoich obowiązków służbowych i swego życia prywatnego.

Reakcja w ciągu dwudziestu lat naszej niepodległości okrzepła, wzrosła w siły. Dziś może otwarcie atakować to, co dawniej zwalczała z ukrycia, dziś może próbować zwycięstwa w takich sprawach, w których kilkanaście lat temu była z góry skazana na przegraną. Tylko dzięki temu możliwa była ta zaciekła, nieprzebierająca w środkach ofensywa przeciw zorganizowanemu nauczycielstwu polskiemu, jakiej świadkami byliśmy w ubiegłym roku — ofensywa, która w istocie rzeczy jest tylko jednym z fragmentów wielkiej batalii przeciw oświacie w ogóle.

Reakcja bowiem nie może i nie chce dopuścić do tego, „żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli, rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu".

Ale powtarzając ten akt oskarżenia reakcji, nie możemy zapominać o tym, że i demokracja sama ponosi w pewnej mierze odpowiedzialność za dzisiejszy stan oświaty. Któż dozwolił reakcji wzrosnąć w siły, któż nie umiał przeciwstawić się jej wtedy, gdy jeszcze jej pazury nie odrosły? Któż nie był dosyć czujny, dosyć silny, dosyć energiczny? Siła reakcji zrodziła się ze słabości demokracji — i dlatego nie możemy zrzucić z siebie odpowiedzialności za to, co wokół nas jest złego, nie możemy powiedzieć: „Myśmy nie winni!".

I w tym właśnie stwierdzeniu zawiera się pokrzepienie. Dziś bowiem — choć reakcja hula jeszcze i panoszy się butnie na powierzchni naszego życia — w głębi rosną siły demokracji, zwierają się i pomnażają jej szeregi, wzmaga się jej aktywność.

Szczególne znaczenie ma fakt, że ta zmiana w układzie sił ujawniła się przede wszystkim i najwyraźniej właśnie na tym odcinku, o którym tu mówimy; że właśnie atak na nauczycielstwo przyniósł reakcji pierwszą od lat wielką klęskę. Nie tylko dlatego, że okazało się raz jeszcze, jak bardzo zależy reakcji na całkowitym podporządkowaniu sobie wszystkiego co dotyczy oświaty, ale także dlatego, że poraz pierwszy mieliśmy tu okazję stwierdzić w tej skali jedność i zwartość całej demokracji. Walka w obronie organizacji nauczycielskiej pozwoliła całemu światu pracy — zarówno fizycznej, jak umysłowej, całemu obozowi demokratycznemu zademonstrować nie tylko swoją solidarność wewnętrzną, ale i swoje głębokie przywiązanie do zasad wolności i troskę o sprawę oświaty.

Między oświatą i demokracją istnieje związek nierozerwalny. Nie ma demokracji bez oświaty i nie ma oświaty bez demokracji. Świadomość istnienia i wagi tego związku stała się już własnością powszechną całego obozu demokratycznego, co znalazło swój wyraz nie tylko w przebiegu „sprawy Z.N.P.", ale i w uchwałach Kongresu Pracowniczego, poświęconych sprawom oświatowym, i w licznych wypowiedziach stronnictw i organizacyj robotniczych i chłopskich. Świadomość ta nie obca jest też zorganizowanemu nauczycielstwu, które, zrywając z błędami niedawnej przeszłości, zawraca dziś ku najpiękniejszym swoim szczerze demokratycznym tradycjom z lat jeszcze przedwojennych.

Stąd właśnie czerpiemy otuchę co do przyszłych losów oświaty w Polsce, choć jej los dzisiejszy tak ciężki i trudny. Stąd też nauczyciel czerpie siły do codziennej pracy i walki, stąd czerpie wiarę, że jego nigdy nieoceniony, prawdziwie bohaterski trud nie pójdzie na marne, lecz wyda plon obfity.

WITOLD WYSOCKI

Idzie młoda, nowa wieś

Mieszkańcy miast, nie zdajemy sobie sprawy z głębokich, sięgających samych fundamentów wiejskiego bytu, przemian, dokonywujących się na wsi polskiej. Czasem dobiegnie do nas głuchy odgłos nowosieleckiego grzmotu, zabłysną na chwilę pioruny sierpnia ub. r. Czasem, przez chwilę, rozebrzmi na ulicach Warszawy twardy krok chłopskich szeregów. Ale jak niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że wszystkie te fakty, to tylko symptomy, tylko przejawy jednego, wielkiego procesu, jaki odbywa się w tej chwili w całej Polsce: procesu budzenia się naszej wsi do nowego, pełnego, ludzkiego, obywatelskiego życia.

Każdemu. kto chciałby uzyskać bodaj pewien, przybliżony, ujęty w skrócie perspektywicznym, obraz tego procesu, polecamy uważne przeczytanie, wmyślenie się w ostatni zeszyt „Wici", organu młodzieży wiejskiej, poświęcony Łódzkiemu Wojewódzkiemu Związkowi Młodzieży Wiejskiej „Wici". Daje on, nie tylko w dekla-

racjach ideowych, ale również i w tych, pozornie drobnych, a jakże ważnych szczegółikach, obraz nowego, młodego życia polskiej wsi.

„Idea wiciowa wychodzi z niskich chałup nie po to, by do nich wracać, ale by drogą prostą przez wieś prowadzić do wsi Nowej, lepszej, nie takiej jak dziś. ....idea wiciowa, to bunt przeciw wszystkiemu, co na wsi i w życiu społecznym zbutwiałe, zacofane, pokryte pleśnią, pełne ciasnego egoizmu i prywaty...“ — te słowa z artykułu wstępnego ob. Janczaka, prezesa wojewódzkiego „Wici“ mogą służyć za myśl przewodnią całego zeszytu.

„Nowa wieś“ to przede wszystkim wieś honorna. Przeczytajmy korespondencję z powiatem wieluńskim, drobny, jakże częsty we wszelkich organizacjach ideowych, nie posiadających wiadomych subwencji, spór o rozdział zebranych przy zbiórce, pieniędzy. „...Pomyślcie Koledzy rzetelnie nad tym i po wiciowemu.... chcielibyśmy, żebyście nas zrozumieli i poprostu spełnili swój obowiązek społeczny.... chodzi nam o to, żeby w naszej organizacji nie było zaściankowych decyzji, ale żeby nasz Związek postępował inaczej, aniżeli dawniejsza szlachta....“ — pisze Zarząd wojewódzki a powiat wieluński uważa sobie te słowa „jak dawniejsza szlachta“ za zarzut najcięższy, najdotkliwszy. I, po wyjaśnieniu kwestii zasadniczej, rozpoczyna się pomiędzy obu instancjami spór, która z nich otrzyma przypadające organizacji terenowej 30% zbiórki. Województwo rezygnuje na rzecz Wielunia, a Wieluń na rzecz województwa... Pokażcie nam taki spór i takie jego zakończenie w którymś z odprysków endeckich czy ozonowych.

„Nowa wieś“, to wieś oświecona, wieś kulturalna. Oto w powiecie łaskim, młodzi „wiciarze“ wydobywają ze strychu starą biblioteczkę, tajną biblioteczkę z carskich czasów, by dorwać się do skarbca kultury narodowej, do Słowackiego, Mickiewicza, Konopnickiej. „Cechą wiciarzy“ jest, że w wolnych od pracy chwilach dużo czytają, — pisze wiciowy „szeregowiec“ z łaskiego. — „W zimowe wieczory przy kopcącej lampce czyta się do późna w nocy. Pamiętam, jak chodzili „luzem“ niektórzy rówieśnicy nasi i wyśmiewali nas „gazetkarzy“ i „książkarzy“, ale po wstąpieniu do „Wici“ sami zrozumieli dobroć czytania.... „Wici“ tworzą nowego człowieka, którego potrzebą jest praca nie tylko fizyczna, ale i umysłowa“.

Jak rozległe są zainteresowania tej chłopskiej młodzieży! Weźmy tematy pogadanek i referatów. Czego tu niema! Sprawy rolnicze, hodowli czy uprawy roli obok życia Reymonta. Powstanie świata, stanowisko ziemi w wszechświecie obok problemów organizacyjnego życia. Losy Hiszpanii obok spraw higieny wiejskiej. Faszyzm i klerykalizm obok powstania minerałów. Problemy reformy rolnej („Kapitalistyczna reforma rolna“ — brzmi jeden z tytułów) obok referatów przyrodniczych. Historia ruchu ludowego obok walki z alkoholizmem. Młoda wieś chce wiedzieć wszystko, rozumieć wszystko, opanować całą kulturę ludzką. O ileż szersze są jej zainteresowania od zainteresowań tych młodych „inteligentów“ krakowskich, co woleli witać swych „narodowych‘ poetów.... na Plantach, unikając starannie wysłuchania ich poezji!

A jak trudno przychodzi zdobywać tę wiedzę. Oto działacze „Wici“ studiują w Warszawie w szkole spółdzielczej. Wiecie ile otrzymał jeden z nich na pełny rok studiów i utrzymania? 415 złotych, przy tym trzeba zaznaczyć, że poza tym nawet na wyjazd do szkoły nie miał grosza, nie mówiąc o innych, bliższych szczegółach materialnych“. Licząc dużo, wypadnie po 40 zł. miesięcznie na naukę i pobyt w Warszawie. Mniej więcej tyle, ile wydadzą młodzi korporanci w jeden wieczór, na „rozgrzewkę“ przed wyprawą na żydowskie szyby.

„Nowa wieś“ to wieś dumna ze swej chłopskości. „Przed kursem byliśmy „wiciarzami“ z naleciałościami szlacheckich filantropijnych pisarzy, za to po kursie stajemy się chłopskimi „wiciarzami“. „Wici“ rugują wszystkie naleciałości księżopańskie z duszy chłopskiej. „Wici“ dają duszę chłopską... największym zwycięstwem naszym to złamanie wstydzenia się swego pochodzenia chłopskiego. — pisze „wiciarz“ z łaskiego. Piosenki wiciowe szerzą tęsknotę „za sprawiedliwością w życiu społecznym, za braterstwem i honornością chłopa“ pisze ob. Kucharski z Tureckiego.

„Nowa wieś“, dumna ze swej chłopskości, rozumie jednak dobrze, że musi walczyć w sojuszu z ludem miejskim. Nie przypadek to, że właśnie w robotniczej Łodzi odbywa ona swe Dożynki. „Jesteśmy szczerymi zwolennikami szczerej współpracy robotniczo-chłopskiej, gdyż taką współpracę uważamy nie tylko za pewną gwarancję całości granic państwa i niepodległości, ale i za podstawę Niepodległej, Sprawiedliwej, Demokratycznej Polski Ludowej.... nic nie stoi na przeszkodzie, aby chłop wyzuty z ziemi i siedzący dziś przy warsztacie tkackim w wielkiej fabryce Grohmana lub Ejtingona współdziałał szczerze z chłopem, orzącym piaski łaskie, w walce o prawo w Polsce“ — pisze ob. Janczak. A ob. St. I. rozprawiając się z próbami poszczucia przeciwko sobie robotników i chłopów (warto, by ten artykuł przedrukowała in extenso prasa robotnicza!) stwierdza: „Dziś chłop nie widzi „łódzkich łyków“, lecz widzi robotnika, widzi bezrobotnego, bo to jego syn, jego córka, jego brat. Wie, kto zabiera mu plony. I robotnik zauważył nędzę wsi i zrozumiał życie chłopskie. Przyszedł czas przypomnienia sobie braterstwa i solidarności ludzi pracy... Zasiadają więc przy wspólnym stole bracia z braćmi, chłopi z robotnikami... I wiedzą, kto im kradł ten chleb codzienny i postanawiają wspólnie czuwać, aby nie przyszedł ktoś, co im wspólny chleb chłopsko - robotniczy ze stołu społecznego ukradnie i za to kupi sobie szampana, ozdobi się brylantami i pałac każe sobie pobudować rękami głodnych robotników“.

„Nowa wieś“ to wieś twarda. Czytajmy, jak rozjeżdżają instruktorzy „Wici“ po wsiach, o głodzie i chłodzie. Czytajmy opis ob. Balczerzaka, jak w deszczu szedł piechotą 33 km. do następnej wsi ludowcowej, gdzie sobie dopiero pożyczył pieniądze na powrót do Łodzi. Szły represje administracji, szła nagonka reakcji i kleru. „W r. 1936 w Baldrzychowie, zjazd nasz obstawiony był kilkudziesięciu policjantami i w połowie

---

Współpracownikami „Epoki“ są nie tylko ci, którzy w niej piszą. Są nimi także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają; którzy je propagują i rozpowszechniają.

Zjazdu przewodniczący musiał iść do więzienia... w r.1937, przy końcu sierpnia, idących i jadących na Zjazd wojewódzki do Bałdrzychowa policja przytrzymała, rewidowała... Zdziwiony byłem, gdy po którym zjeździe nie przychodził za mną mandat karny"... — pisze ob. Balcerzak. „Żaden kurs nie odbył się bez policji, rewizji osobistych, protokołów, nalotów na podwórka wiciarzy itp.... Prasa ze swych trybun trąbiła o ‚żydo-komunie". A za nimi wszystkimi „Jegomość" wchodzili na ambonę i grzmieli ustami rzekomych apostołów, nazywając wiciowców: komunistami, bezbożnikami czy innymi diabłami z piekła... Była to swego rodzaju wojna, wojna wstecznictwa — z wiciami... ale wsiowy naród jest twardy i wytrzymaliśmy — stwierdza ob. Kucharski z Tureckiego.

„Nowa wieś" jest świadoma społecznie. „Nie mamy żadnych złudzeń, co do istotnej roli obszarnictwa, kleru, burżuazji mieszczańskiej i przemysłowej, bez względu na narodowość i wyznanie" — pisze ob. Janczak Twarda to i dobitną odpowiedź na wszystke zalecanki takiej czy innej reakcji, takiego czy innego Ozonu czy Oeneru. „Wiciarze łódzcy idą... — kończy prez. Janczak swe rozważania — Wsłuchani w swój krok chłopski, miarowy, pełni trudu chłopskiego i znoju w swym pochodzie chłopskim od prawieków"...

Tak jest. Idą. Nie tylko wiciarze łódzcy. Idą wiciarze całej Polski. Idą — ramię w ramię, w braterskim sojuszu błękitne koszule turowców. Idzie młodzież Klubów Demokratycznych. Idzie szczerze demokratyczna młodzież „Jedności", zbliżonej do Stronnictwa Pracy. Idą młodzi chłopi, młodzi robotnicy, młodzi inteligenci. Idą razem, depcząc w swym miarowym pochodzie reakcyjną legendę o faszystowskim „rządzie dusz" nad młodym pokoleniem.

Z nimi idzie przyszłość Polski.

R. E. WERNER.

Z DNIA NA DZIEŃ

KAPTUROWY CIOS

Zainicjowana przez „wesołego premiera" i z entuzjazmem podjęta przez różne odłamy ONR, „narodowych piłsudczyków" i konserwatystów, nagonka antymasońska przyniosła wielką kompromitację naszego obozu hitlerochwalczego. Zarówno osoba samego rewelatora, jak również nazwiska osobistości „zdemaskowanych" nie pozostawiły bowiem w oczach opinii publicznej najmniejszych wątpliwości co do tego, jakie intencje przyświecały naszym wstecznikom w całej tej dywersji i jaką wartość mają same „rewelacje". Nawet klerykalny i napewno masonów nie miłujący „Głos Narodu" stwierdził, że atak przeciw ludziom takim, jak St. Kot, Wł. Sikorski, St. Stroński, M. Rataj i wreszcie Ign. Paderewski ma niedwuznaczny posmak polityczny, bo komuś — w kraju i zagranicą — bardzo zależy na tym, żeby w oczach społeczeństwa polskiego każda polityka, zmierzająca, zgodnie z interesem Rzeczypospolitej, do poprawienia tak ochłodzonych, (nie z winy narodu polskiego!) przyjaznych stosunków z Francją i do unormowania sąsiedzkiego współżycia z Czechosłowacją — uchodziła za masońską, t. zn. żydowską. Dlatego archeologiczne „rewelacje" godziły tym razem w osobistości, jaknajdalej wprawdzie stojące od wszelkiego radykalizmu i antyklerykalizmu, ale powszechnie znane z swego przyjaznego usposobienia wobec naszej zachodniej sojuszniczki.

Dla nikogo w Polsce nie mogło zresztą ulegać wątpliwości, że zaprzeczenia ogłoszone przez „zdemaskowanych" zasługują w pełni na wiarę, gdy przeciwnie — twierdzenia i „rewelacje" p. Kozłowskiego tej wiary w nikim nie budzą i wzbudzić nie mogą. Kot, Sikorski, Rataj zaprzeczyli, Stroński zapowiedział wniesienie sprawy do sądu. Paderewski zaprzeczenia nie ogłosił, ale uczynił to jeszcze przed kilku laty — co zresztą obecnie w prasie podniesiono. „Ofensywa" kół reakcyjnych załamała się.

Ale ośrodki prohitlerowskie nie dały za wygraną. Postanowiono „wykończyć" przynajmniej Paderewskiego, korzystając z jego nieobecności w kraju. Osoba b. premiera jest bowiem od jakiegoś czasu solą w oku naszych mitteleuropejczyków, gdyż symbolizuje w Polsce i zagranicą przyjaźń polsko - francuską i polsko - amerykańską. A tej przyjaźni międzynarodówka hitlerowska boi się, jak ognia, i nie zaniedbuje żadnych wysiłków, by wykopać przepaść między naszym narodem, a demokracją francuską i amerykańską. Bo przyjaźń polsko-francuska uniemożliwiłaby realizację Mitteleuropy. Uderzając w Paderewskiego, nasi hitlerochwalcy chcieli zresztą uderzyć i w Stronnictwo Pracy, którego antyhitlerowskie stanowisko w polityce zagranicznej budzi niekłamaną wściekłość w obozie reakcyjnym. A węzły, łączące Str. Pracy z Ign. Paderewskim, są powszechnie znane. Otóż osoba Paderewskiego cieszy się niewątpliwym autorytetem właśnie w prawicowym odłamie społeczeństwa polskiego — i właśnie na prawicy społeczeństwa działa Str. Pracy. Paderewski i Str. Pracy zagrażają więc hitleryzmowi właśnie tam, gdzie uważa się on za bezkonkurencyjną siłę polityczną; na tym terenie, który — przygotowany długoletnią propagandą endecką — powinien przecież być wyłączną domeną hitlerofilstwa!

KORONKOWA ROBOTA

Atak przygotowano — trzeba to przyznać — bardzo misternie. Oto jedno z pism codziennych, znane wprawdzie jako krypto - sanacyjne, ale nie podejrzane dotąd wprost o sympatie hitlerowskie (chociażby z przyczyn „rasowych") przypomniało, tak ‚przypadkowo" i niby bez ukrytej intencji, że w roku 1934 „Paderewski ogłosił znane zaprzeczenie wedle znanej formuły masońskiej, upoważniającej do wypierania się przynależności do lóż „uznanych" kiedy tego wymagają okoliczności". Ten tchórzliwy strzał z za płotu odezwał się zwielokrotnionym echem na łamach najbardziej w hitlerochwalstwie eksponowanych pism i pisemek. Wielbiciele Henleina i Streichera wskazują triumfalnie: Paderewskiemu zadano oto kłam ze strony niepodejrzanej chyba o niechęć do masonerii, ze strony, która przecież z natury rzeczy najlepiej orientuje się w obyczajach masońskich! A gdy „Nowa Rzeczpospolita" napiętnowała tę przejrzystą dywersję i zwróciła uwagę na zastanawiającą zbieżność między kampanią antymasońską hitlerofilów, a wystąpie-

niem „antyhitlerowskiego" organu, na łamach jego odpowiedziano z głupia frant, że wystąpienie to dotyczyło nie samego Paderewskiego, **„lecz zasadniczej kwestii oceny wartości zaprzeczeń masońskich, doskonale i wszechstronnie już oświetlonej".**

Tak więc „Nasz Przegląd" pismo, które zresztą najniesłuszniej w świecie, wśród pewnej części czytelników uchodzi za trybunę antyhitlerowską, czy nawet demokratyczną, w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do rzeczywistych intencyj, świadomie oddał nieocenioną usługę żywiołom hitlerofilskim, antysemickim. Nasi faszyści mogą teraz powoływać się na „bezstronny" głos tego pisma, które usiłuje poderwać w opinii publicznej wiarę w prawdziwość zaprzeczeń osobistości „zdemaskowanych". przez pana Kozłowskiego! Dziwny to zaprawdę — „zbieg okoliczności"!

OPOWIADANIA CHYTREGO KIBICA

Kto jednak od dłuższego czasu uważnie obserwuje robotę polityczną tego szanownego organu, który pod pozorem niewinnego, plotkarskiego „kibicowania" nie pomija żadnej sposobności, by zaszkodzić sprawie konsolidacji obozu demokratycznego, by skompromitować demokrację polską w oczach ludności żydowskiej, a żydowską w oczach społeczeństwa polskiego, by poróżnić między sobą poszczególne odłamy demokracji polskiej — ten i obecnie nie zdziwi się. Bo przysługa, uczyniona przez to pismo hitlerofilom polskim w ich antymasońskiej dywersji przeciw demokracji, jest tak wyraźna, jej intencje tak niedwuznaczne, że wszelkie dalsze „demaskowanie" ich wydaje się rzeczą najzupełniej zbędną. Sprawa jest zbyt przejrzysta, żeby mogła wydawać się dziwną. Fakty mówią same za siebie.

My jednak powtórzymy to, cośmy niedawno na tym miejscu pisali: masoneria przyczyniła by się walnie do oczyszczenia zatruwanej przez mącicieli atmosfery naszego życia publicznego, gdyby zdecydowała się wreszcie na zerwanie z tajemniczością, którą się otacza — gdyby rozpoczęła swą działalność jawnie, tak jak we Francji, w Anglii, Szwajcarii, w Stanach Zjednoczonych itd.

Senne marzenia pani margrabiny

ZASADNICZA RÓŻNICA

P. margrabina Maria Jehanne Wielopolska, niewiasta w świecie bywała, wreszcie dojechała do celu. Po trudach dawnego bezbożnictwa postępowego, które zawsze zalatywało jakimś freudowskim kompleksem, wypoczywa obecnie w lejb - organie polskiego hitleryzmu, w „Merkuriuszu Ordynaryjnym". Pierwszy swój występ w tym, zgoła oryginalnym wydawnictwie pani margrabina raczyła poświęcić „Epoce".

Zabolała ją sprawa napiętnowania przez nas policyjnych gratulacji dla szefa — przynajmniej **formalnego** szefa — wojsk okupacyjnych włosko - niemieckich, operujących na terytorium Hiszpanii. Przyznajemy, że sami nie sądziliśmy, by nasza mała notatka aż tak mocno zabolała obóz zjednoczonej reakcji. Wpierw „Kurier Poranny", teraz „Merkuriusz". Widać trafiliśmy celnie. Tym lepiej...
Pani margrabina, podobnie jak swego czasu „Kurier Poranny", nie chce uznać różnicy pomiędzy organem bezpieczeństwa publicznego a organem opinii publicznej. Niechże raczy przeczytać naszą odpowiedź w tej sprawie „Kurierowi". Dla pewności sformułujemy jeszcze raz zasadniczą różnicę: organ opinii publicznej ma kształtować i wpływać na politykę rządu, organ bezpieczeństwa publicznego ma ją tylko wykonywać. Organy opinii publicznej mogą i powinny wyrażać swe zdanie, jakich zagranicznych mężów stanu chciałyby witać jako gości w stolicy, organ bezpieczeństwa publicznego przeciwnie, musi im, wszystko jedno kim są, oddawać honory. Jeśli organom opinii publicznej uda się wpłynąć na rząd, by zaprosił innych, niż dotychczasowych gości, organ bezpieczeństwa publicznego będzie musiał oddawać honory tym nowym gościom z nie mniejszą służbistością, niż poprzednim. Stąd wynika jasno, że jeśli stanowisko organów opinii publicznej może się różnić od danego stanowiska danego rządu, to stanowisko organów bezpieczeństwa publicznego od tego stanowiska różnić się w żadnym wypadku nie może. Wszelka „różnica zdań", o ile uwidacznia się w postępowaniu służbowym, o ile przybiera charakter służbowy, staje się automatycznie przestępstwem dyscyplinarnym. Jeśli pani margrabina nadal nie chce uznać tej różnicy i nadal pragnie identyfikować zadania organu bezpieczeństwa publicznego z zadaniami organów opinii publicznej, pisma ideowego i posterunkowego P.P., gazety i wywiadowcy, to trudno. Nic na to nie poradzimy, najwyżej możemy uznać, że takie zdanie jest godne zanotowania. Wolnoć Tomku... Ale sami swego zdania nie zmienimy.

CHOCHLIKI

Jeszcze jedno. Pani Wielopolska pisze „Z zachodnim sąsiadem zawarł rząd polski, jak „Epoce" wiadomo, **przymierze...**" Otóż wcale nam nie wiadomo. I nie tylko nam. Nikomu w Polsce, w każdym razie nikomu nie wtajemniczonemu w arkana polityki „Merkuriuszowej", nic o tym nie wiadomo. P. min. Beck nigdy jeszcze publicznie nie zadeklarował, że nas z Niemcami łączy przymierze. A byłaby to nowina wybitnie sensacyjna. Skąd wie o tym pani Wielopolska? Czyżby miała jakieś specjalne informacje? Ciekawe... A może to tylko taki „Wunschtraum", senne marzenie? W każdym razie „Wunschtraum" zgodny z życzeniami p. Goebbelsa w sposób doprawdy zastanawiający.

Przymierze, rzeczywiste przymierze, formalny, regularny sojusz, podpisany przez rządy, ratyfikowany przez parlamenty, utrwalony w sercu i umyśle obu narodów, łączy nas z Francją. Z Francją, pani margrabino, a nie z Trzecią Rzeszą. I właśnie dlatego „Merkuriusz", który uważa, że niezależny organ opinii publicznej powinien jak posterunkowy, oddawać honory przy każdym kolejnym taktycznym pociągnięciu urzędującego ministra, ten sam „Merkuriusz" wylewa w każdym numerze całe kubły pomyj na sojuszniczą, bez cudzysłowu sojuszniczą Francję.

Z Trzecią Rzeszą łączy Polskę, o ile nam wiadomo, formalnie jedynie pakt o nieagresji. Taki sam, akuratniusieńko taki sam, jak z Sowietami. A taki pakt wcale nie wyłącza najostrzejszej krytyki takich czy innych posunięć tych czy innych szczegółów polityki wewnętrznej czy zagranicznej, wschodniego lub zachodniego sąsiada.

Czyż nie tak, proszę pani? Sądzimy, że organ polskiej demokracji, niezależny organ polskiej opinii publicznej może odnosić się do Trzeciej Rzeszy, państwa, z którym mamy tylko pakt o nieagresji, mniej więcej tak samo przyjaźnie, jak „Merkuriusz" do Francji, z którą łączy nas oficjalny sojusz. Nie będziemy tylko naśladować stylu „Merkuriusza" i pani Wielopolskiej.

Słowa które ustom nie kłamią

Jak wspomina **„Krakowski Kurier Wieczorny"**, na jednym z domów w Jastarni, naszym najpiękniejszym morskim uzdrowisku, widnieje piękny i godzien **głębszego zastanowienia napis: „Wstęp** wzbroniony do Jastarni dla Żydów i proletariatu". Dla Żydów... no, wiadomo. Nie nowość. Ale dla proletariatu? Oczywista, pański synek, wypoczywający po trudach całorocznych wagarów na piaszczystym

brzegu Jastarni, niezupełnie dokładnie zdaje sobie sprawę z treści tego słowa. Gdyby je rozumiał, to zakaz swój sformułowałby chyba nieco mniej kategorycznie. Bo przecież nie tylko jego tatuś nie mógłby istnieć bez tego znienawidzonego „proletariatu", nie tylko nie mógłby wysłać biednego, zmęczonego, wyczerpanego synka nad morze, ale i sam synek czułby się kiepsko nad tym morzem. Bo przecież do tego „proletariatu" należy i kucharz, który mu gotuje obiad i służąca, która mu sprząta i sporo innych, bez których usług trudno by mu było korzystać z nadmorskich rozkoszy. Znaczenia słowa „proletariat" młody kandydat na któryś tam numer „wodza" oczywista dotąd nie zrozumiał.

Ale jeśli nawet go nie zrozumiał, to już zdążył znienawidzieć całym zapałem swej młodzieńczej duszy. Bo przecież pamiętajmy, że „Żyd" dla takiego młodzieńca, to nie tylko ofiara jego pałkarskich zapędów, nie tylko adresat najplugawszych wyzwisk, ale zarazem coś w rodzaju średniowiecznego Mefistofelesa, wcielenie wszystkiego złego na tej ziemi. I oto nagle obok niego pojawia się wcielenie drugie, obok Belzebuba zjawia się Lucyper, obok „Żyda" występuje „proletariat". I doprawdy warto zastanowić się: co w tej tępej lub przedwcześnie stępionej przez faszystowską demagogię głowie wiąże się z tym słowem „proletariat", co właściwie autor tego napisu miał na myśli, malując na ścianie domu swe nowe, bojowe zawołanie: „Żydom i proletariatowi wstęp wzbroniony".

Czy przypomniał sobie w tej chwili dyskusje, toczone przy ojcowskim stole na temat „bolszewickich" żądań robotników lub fornali („bolszewizmem", jak wiadomo, u naszych plutokratów i patrycjuszów jest każde żądanie choćby najskromniejszej podwyżki płac)? Czy stawała mu przed oczyma nienawistna mina tatusia, kiedy mówił o... tych... z proletariackich związków.... o tych... podżegaczach? Czy wyczuwał że w tym łacińskim słowie czai się groźne niebezpieczeństwo buntu wyzyskiwanych, buntu który kiedyś może go pozbawić możliwości wagarowania, możności jeżdżenia do Jatarni? Kto wie?

Słyszeliśmy niedawno, na chłopskim wiecu na Rynku Staromiejskim grzmiący okrzyk: „Niech żyją świadomi politycznie robotnicy i chłopi!" Czy to strach przed tym okrzykiem, przed rosnącą świadomością mas ludowych, przed ich rosnącą wolą do współdecydowania o losach ojczyzny, kazał młodemu adeptowi elitarnej dyktatury wymalować na ścianach Jastarni „groźny" zakaz: „Proletariatowi wstęp wzbroniony"?

Nie wzbronicie, panowie. Bronili już mocniejsi od Was temu proletariatowi dostępu do wolnej ojczyzny. Bronił car i sfora jego żandarmów. I oni palili „czerwone płachty". Znikł już sobór carosławny z dawnego Saskiego Placu, ale czerwone sztandary raz po raz się na nim pojawiają. Znikniecie i wy, z waszymi „zakazami" i „wodzowskimi" aspiracjami. Pozostanie po was nawet nie nienawiść, a tylko wstyd, że w wielkiej godzinie historii znaczna część młodej inteligencji polskiej stała się narzędziem obcego imperializmu, narzędziem wrogiej dla narodu polskiego, dla jego mas ludowych polityki. Że odważyła się wykluczać proletariat z narodowej wspólnoty. Że stanęła przeciw wyzwoleńczej walce proletariatu polskiego, niosącej całemu narodowi światło lepszego jutra.

Poznacie go po jego przyjaciołach

Ksiądz Andrzej Hlinka, założyciel i wódz stronictwa autonomistów słowackich, nie żyje. Kto będzie następcą zmarłego? — w chwili, gdy piszemy te słowa, nie wiadomo jeszcze. Ale nazwisko posła Karola Sidora powtarza się w prasie najczęściej. Z zastanawiającą gorliwością i z wyraźnym podnieceniem nasi henleinowcy rozpisują się o zaletach pana Sidora i otwarcie lansują go na „wodza" narodu słowackiego. Widocznie polityk ten budzi najbardziej różowe nadzieje w zatroskanych ostatnio sercach naszych mitteleuropejczyków. Nie trzeba zapominać, że p. Sidor nie ma tej tradycji przedwojennej jeszcze walki z zaborem węgierskim, którą bądź co bądź posiadał zmarły ks. Hlinka. P. Sidor otwarcie już może pchać swe stronnictwo na tory madziarońskie. I jeszcze jedno: Hlinka był prałatem katolickim — to mogło go powstrzymywać od pójścia na drogę wyraźnie hitlerowską, na drogę, na której leży jawny zatarg z Watykanem. W Sidorze Henlein, pełnomocnik Berlina na Czechosłowację, może znaleźć pełne oparcie i czynną pomoc dla swej polityki, wywołującej taki entuzjazm wśród naszych totalizatorów. I stąd ta popularność Sidora w polskiej prasie prohenleinowskiej. Kandydat na „wodza" Słowaków docenia zresztą wartość tej „polskiej" przyjaźni. Do jednego z tych pisemek wystosował nawet odręczny list, którego facsimile sympatyczny ten organ z dumą zaprodukował swym nielicznym czytelnikom i, zdaje się liczniejszym, mocodawcom. Inny tygodnik faszystowski pochwalił pana Sidora, nazywając go „politykiem doświadczonym i wyrobionym".

Ma pan Sidor w Polsce przyjaciół, ma! I po tych przyjaciołach poznacie go najlepiej...

NAUCZYCIELSTWO W OBOZIE DEMOKRACJI

Czy męska, bezkompromisowa postawa, jaką przyjęło zorganizowane nauczycielstwo polskie podczas pamiętnych wypadków zeszłorocznych, była tylko odruchem obrażonej godności, czy też wyrazem konsekwentnej, przemyślanej — na podstawie bogatego doświadczenia — linii ideowej? Czy nauczycielstwo, które wykazało tak dużo spokojnego hartu i siły oporu w obliczu bezpośredniego, frontowego uderzenia, będzie równie odporne wobec kuszących podszeptów reakcyjnych uwodzicieli, czy nie ugnie się wobec prób skrytej, cichej dywersji? Takie były pytania, na które odpowiedź miał dać VII Sprawozdawczy Zjazd Delegatów Z. N. P. w dniach 27, 28 i 29 sierpnia r. b. Pytania — i odpowiedź — ważne nie tylko dla samej organizacji, ale i dla całego ruchu pracowniczego i dla całego obozu demokratycznego — to też nic dziwnego, że opinia niezależna z żywym zainteresowaniem śledziła przebieg i oczekiwała wyników Zjazdu.

Zjazd dał odpowiedź nie pozostawiającą najmniejszych wątpliwości: nauczyciel polski stanął z powrotem twardą stopą w obozie demokracji. Udział w Zjeździe przedstawicieli Klasowych Zw. Zawodowych i Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego — których przemówienia powitalne były entuzjastycznie przyjmowane przez tysiączną blisko rzeszę delegatów, ton przemówień szeregu delegatów, uchwalone rezolucje, w których Zjazd stwierdził istnienie braterskiego związku między nauczycielem a masami robotniczymi i chłopskimi, i stanowczo odciął się od wszelkich importowanych czy krajowego wyrobu „ideologij" totalistycznych, wreszcie ogromną większością głosów przyjęta decyzja pozostawienia składu dotychczasowego Zarządu Głównego bez zmiany — świadczą o tym, że nauczycielstwo, nie bacząc na ponawiające się ataki wstecznictwa, na oficjalne afronty, ani na „korzystne" propozycje, konsekwentnie i zdecydowanie kroczy dalej po raz obranej drodze.

Demokratyczne stanowisko szerokich rzesz nauczycielstwa znalazło najlepszy wyraz w referacie programowym ob. Cz. Wycecha, wiceprezesa Zarządu Głównego Z. N. P., uznanym przez Zjazd za deklarację ideową Związku.

Zagadka pana Cata

„Stał się cud pewnego razu"... P. min. Beck doczekał się surowej krytyki, nie ze strony choćby opozycyjnych endeków, ale ze strony swych dotychczasowych najgorętszych zwolenników i obrońców. Pan Cat w „Słowie", (a w jego ślady i „A.B.C.") zaatakował go za „zagadkowość" jego polityki. P. Cat bąknął nawet coś o Gdańsku. Zauważył słusznie, że w Gdańsku w tej chwili panuje już nawet nie „polsko-niemieckie kondominium", a czysto „niemieckie dominium". Niewątpliwie, te słuszne spostrzeżenia p. Cata wywołały zrozumiałą satysfakcję w prasie demokratycznej.

Ale nam się wydaje, że sama satysfakcja tu nie wystarcza. Bądź co bądź jest rzeczą zastanawiającą, że do ataku występuje właśnie „Słowo", cieszące się szczególnymi względami w gazetowych kioskach berlińskich, nazwane niedawno „ein nationalsozialistisches Blatt" przez zgoła kompetentne usta. Na uwagę zasługuje okoliczność, że atak „Słowa" znalazł oddźwięk na łamach „ABC", organu, który udzielił swych szpalt dla sprawozdania ks. Trzeciaka o kongresie erfurckim, pisma, które samo kiedyś określiło się jako organ „polskich hitlerowców". „Timeo Danaos et dona ferentes"— boimy się Cata i „ABC", nawet, gdy krytykują p. Becka.

Powie nam ktoś, że przesadzamy. Że „opozycja" p. Cata to poprostu łapanie naiwnych, że zadaniem p. Cata jest nie uprawianie konkretnej dyplomacji, ale owocne popularyzowanie tej dyplomacji, że p. Cat, czując niezadowolenie opinii publicznej z polityki naszych dyplomatów, próbuje ich zlekka krytykować, aby potem tym łatwiej móc wystąpić z ich obroną w doprawdy decydującym momencie, w rzeczywiście decydujących zagadnieniach.

Być może. Ale jednak — wobec faktu, że nagle przeciwko polityce p. min. Becka wystąpił akurat p. Cat, jest rzeczą wskazaną poddać argumentację p. Cata szczególnie ostrożnej, szczególnie czujnej analizie. Co zarzuca naszej polityce zagranicznej p. Cat?

Zarzut pierwszy: „Zagranica o nas myśli, jako o sojusznikach Niemiec. Natomiast kraj piastuje w dalszym ciągu idee walki z Niemcami. Dla zagranicy Polak — to sojusznik Niemiec. W Polsce uważamy się nadal za wrogów Niemiec".

Cóż z tego? Z dylematu można wydobyć się w dwojaki sposób. Można poprowadzić politykę, zgodną z opinią, zaznaczmy niemal jednolitą, sięgającą od niewątpliwie prawicowego p. Strońskiego, poprzez Stronnictwo Pracy, aż po całą lewicę polską. Można uczynić z Polski bastion potężnego „bloku pokoju", o którym mówił ostatnio prezydent Roosevelt, bloku, który, mimo wszystkie wahania p. Chamberlaina, tworzy się dokoła Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Któżby uwierzył, że taką właśnie politykę proponuje p. Cat? Musiałby przed tym podrzeć wszystko, co pisał przez ostatnich dziesięć lat. Musiałby przestać być... panem Catem.

Więc co? Istnieje możliwość druga. Sprawić, byśmy przestali „uważać się za wrogów Niemiec", jak to nazywa p. Cat, byśmy przestali zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa dla Polski „Drang nach Osten" niemieckiego imperializmu, jak tę samą myśl wyrazilibyśmy my. A więc — prasie pysk na kłódkę! Jeszcze za dużo wolno pisać o Gdańsku, jeszcze za dużo wolno krytykować p. Henleina! Jedynym źródłem informacji o polityce Trzeciej Rzeszy powinny się stać specjalne numery „Czasu" i korespondencje berlińskie p. Smogorzewskiego.

Oto jedyny, możliwy — możliwy dla p. Cata, możliwy przy mentalności i przenikliwości p. Cata — wniosek z zarzutu pierwszego.

Zarzut drugi, jeszcze bardziej niepokojący. P. Cat pisze dosłownie: „Chcieliśmy, aby współpraca polsko-niemiecka dawała tyle samo zysków Polsce, co i Niemcom". Tymczasem na razie p. Cat tych zysków nie widzi. Zastanówmy się chwilę: Niemcy na współpracy zyskały możność dozbrojenia, Anschluss, możność przygotowania „akcji" w Czechosłowacji. Jakież tu mogły być zyski Polski? Wolność zbrojeń mamy od dawna. Może p. Cat chciał dostać kawałek Austrii, powiedzmy Karyntię? Nic o tym nie wiadomo, byśmy do niej zgłaszali pretensje.

A więc? O co właściwie chodzi? Przypominamy sobie pewną pogłoskę, która kursowała swego czasu w prasie zagranicznej. Oto ponoć Niemcy mieli zaproponować Polsce, by ze względu na trudności, jakie dla nich pociągnąćby musiał konflikt zbrojny z Czechosłowacją, konflikt ten rozpoczęła... Polska! Opinia polska potraktowała te plotki, jako dobry dowcip, jako coś w rodzaju znanej propozycji Zagłoby, ofiarowującego królowi szwedzkiemu Niderlandy. Nawet najbardziej hitlerofilskie i czechożercze (te dwa określenia pokrywają się dziś, jak wiadomo, w zupełności) organy prasowe nie proponowały, przynajmniej nie proponowały jawnie, zbrojnej interwencji polskiej w Czechosłowacji. Nie proponowały oczywista, nie z niechęci do wojny, z rozumu politycznego, czy z patriotyzmu, ale poprostu dlatego, że rozumiały, iż propozycja ich spotkałaby się z jednomyślnym, jak najbardziej zdecydowanym potępieniem polskiej opinii publicznej.

Faktem jest, że przy stale niezmiennym stosunku do zagadnień czechosłowackich, w chwili obecnego napięcia, przynajmniej formalnie, dyplomacja nasza zachowuje rezerwę. Czyżby o to chodziło p. Catowi? Czyżby p. Cat żądał zbrojnej interwencji w Czechosłowacji? Bo jeśli nie, to jak wytłumaczyć fakt, że w „Słowie" p. Cata, już po rozpoczęciu przezeń kampanii w sprawie polityki zagranicznej, nagle zabiera głos p. Studnicki, hitlerofil najczystszej próby, z pretensjami, że p. minister Beck jedzie do Oslo, czy do Sztokholmu, zamiast udać się wprost do Berlina i Budapesztu (zarzut zresztą niesłuszny: p. minister w drodze z Północy wstąpił do Berlina i odbył tam pewne rozmowy)? Jak wytłumaczyć, że tenże p. Studnicki w tymże „Słowie" pali p. ministrowi takie dictum acerbum: „Antagonizm polsko-czeskosłowacki jest rzeczą oczywistą, opartą na realnych podstawach. Nie widzimy jednak obecnie, aby rząd polski **wyciągnął odpowiednie konsekwencje w swej polityce zewnętrznej i wewnętrznej**". Jakież mogą być te konsekwencje w polityce wewnętrznej? Chyba konfiskata wszelkich wiadomości o Czechach, nie pochodzących z Deutsches Nachrichten-Bureau. Jakie zaś mogą być dalsze konsekwencje w polityce zewnętrznej? Można zrobić tylko jedno: interweniować. Rozumiemy, że tego pragnie bardzo Wilhelmstrasse. Czyżby to było celem również p. Studnickiego?

Jeśli nie, to proszę nam wytłumaczyć, jakich to „konsekwencji" w polityce zagranicznej żąda p. Studnicki, i jakich to „plonów" i sukcesów od polityki p. min. Becka oczekiwał p. Cat.

Zachód mówi

Zagadnienie Czechosłowacji wysuwa się znowu na czołowe miejsce szpalt prasy światowej. Dlatego pierwszą część naszych wycinków poświęcamy wyjaśnieniu istotnej treści tego zagadnienia. Czytelnik raczy zwrócić szczególną uwagę na spokojne, obiektywne uwagi „Neue Züricher Zeitung", poważnego, zrównoważonego organu umiarkowanej demokracji szwajcarskiej, oraz na wywody „Frankfurter Zeitung".

Mowie prezydenta Roosevelta, stanowiącej dalszy krok na drodze zbliżenia Stanów Zjednoczonych z demokracjami europejskimi, poświęcamy drugie nasze zestawienie. Wybuch szału faszystowskiego „Il Resto del Carlino" świadczy najlepiej, jak celnie ugodziły w „oś" słowa prezydenta.

Mowie min. Simona, pod której znakiem stoi ostatnia faza problemu czechosłowackiego, poświęciliśmy trzecie nasze zestawienie. I tutaj z kompetentnych głosów umiarkowanych, prawicowych organów Zachodu, i z gniewu prasy p. Goebbelsa czytelnik polski przekona się może najlepiej, że i tu sprawa „osi" nie stoi bynajmniej tak pomyślnie, jakby to chciały sugerować opinii polskiej wiadome źródła.

EPOKA.

PROBLEM CZECHOSŁOWACJI

„Byłoby dla Niemiec rzeczą niebezpieczną atakować Francję, dopóki Republika Czechosłowacka może, tak jak dzisiaj, zmobilizować w ciągu tygodnia 900 tys. ludzi dobrze uzbrojonych i dobrze wyszkolonych, dopóki ta republika rozporządza zbrojną siłą lotniczą, która może zagrozić Drezdnu, Lipskowi, Norymberdze i Monachium w pół godziny po pierwszym ataku niemieckim, dopóki ta Republika posiada potężne zakłady przemysłu wojennego w Witkowicach i zakłady Skody w Pilznie. Jest rzeczą zrozumiałą, że Niemcy chcą pozbyć się tej Czechosłowacji, która tkwi im cierniem za skórą".

WICKHAM STEED, b. redaktor naczelny „Times"-ów, jeden z najpoważniejszych publicystów angielskich, list otwarty, ogłoszony w *„News Chronicle"*.

„Niemcy stanowią mniejszość w Czechosłowacji. Nie mogą więc tworzyć państwa w państwie. Nie mogą przeciwstawiać demokracji czechosłowackiej swej własnej konstytucji, swych własnych praw, swych poglądów politycznych i rasowych. Żądać, by im na to pozwolono, jest to żądać oddzielenia ich od reszty państwa, a więc jest to żądać wojny".

LEON BAILBY w *„Le Jour"* (organ skrajnej prawicy francuskiej).

„Samo w sobie, żądanie Niemców sudeckich, by im udzielono autonomii, nie jest niczym niedopuszczalnym... Ale już żądanie stworzenia autonomicznych, rządzonych przez niemieckich urzędników, terytoriów, wraz z planowanym usunięciem czeskiego elementu z tych terytoriów, usuwa ziemie graniczące z Rzeszą spod wpływu Pragi, co grozi niebezpieczeństwem dla obronności kraju i dla jego gospodarczego rozwoju. Ale żądanie to musi zamienić się w najcięższe niebezpieczeństwo dla samego istnienia państwa z chwilą gdy Niemcy sudeccy uzupełniają je żądaniem drugim: „pełnej swobody wyznawania niemieckiego światopoglądu", tj. kiedy żądają prymatu dla narodowego socjalizmu, dla jego zasady wodzostwa i jego polityki rasowej, bez względu na postanowienia konstytucji czechosłowackiej. Podczas gdy Czesi przed dwudziestu laty uznali za podstawę swego państwa demokrację parlamentarną i zasady liberalizmu, Niemcy sudeccy odmawiają dziś tym instytucjom swego uznania i żądają dla siebie prawa urządzenia swego bytu w państwie na zasadach „niemieckiego światopoglądu". Może to być tylko wstępem do ostatecznego rozpadnięcia państwa czechosłowackiego".

„NEUE ZUERICHER ZEITUNG", umiarkowany organ szwajcarski.

„Czyż Niemcy dyktują coś swym sąsiadom czechosłowackim, kiedy zwracają im uwagę, że od czasu gdy zawierali oni swe sojusze z Francją i Sowietami, coś zmieniło się na świecie, że wobec tego należy dokonać gruntownej reorientacji ich polityki zagranicznej? Niemcy się wzmocniły, ich sojusze osłabły, trzeba przebudować całe państwo czeskosłowackie. Czy Niemcy dyktują im coś, kiedy wskazują im, jakie były, zdaniem niemieckim, konsekwencje ich dotychczasowej polityki zagranicznej, kiedy wskazują im, że nowe ukształtowanie państwa czechosłowackiego, przy którym Niemcy sudeccy doszliby do swych praw, stanowiłoby dla Czechów jedyną w swoim rodzaju sposobność wejścia z Rzeszą Niemiecką w stosunki zupełnie nowe, produktywne i — w dobrym tego słowa znaczeniu — decydujące dla całokształtu polityki na Południowym Wschodzie Europy?".

„FRANKFURTER ZEITUNG"

STANY ZJEDNOCZONE PRZECIW DYKTATUROM

„Nie możemy przeszkodzić, by nasz lud wyrobił sobie zdanie o pyszałkowatej brutalności, o nie-demokratycznych formach rządzenia, o nędzy, którą się narzuca bezbronnym ludom, o gwałceniu ogólnie uznanych praw jednostki. Wszystko, co rządy takie jak nasz i wasz, mogą uczynić w tej sprawie, to dbanie o to, by fakty te były znane i stwierdzone w odpowiedni sposób. Żaden kraj, w którym panuje swoboda myśli, nie może przeszkodzić, by w każdym domu w jego granicach zastanawiano się samodzielnie nad świadectwem tych faktów i wydano o nich własny sąd. Bo z sumy tych sądów, do których dojdą obywatele, powstanie ostatecznie sąd opinii publicznej kraju. To właśnie oznaczało moje twierdzenie, że opinia publiczna rządzi polityką kraju. Jest to słuszne i tak powinno być.

My w Ameryce nie jesteśmy już więcej dalekim odległym kontynentem, któremu są obojętne fale konfliktów po drugiej stronie Oceanu. Nami tu w Ameryce interesuje się każde zamorskie biuro propagandy i każdy zamorski generalny sztab. Nasze olbrzymie bogactwa mineralne, siła naszego handlu i przemysłu, zdrowie naszych mężczyzn uczyniły nas ważnym

czynnikiem światowego pokoju, czy to się nam podoba, czy też nie.

Wszystkie narody, które są przywiązane do pokoju, powinny się zjednoczyć, aby przeciwstawić się tym, którzy, gardząc wiążącymi ich umowami i gardząc nawet instynktami ludzkiej natury, gwałcą jednych a depczą nogami drugich".

PREZYDENT ROOSEVELT mowa w *Kingston*.

„Mowa prezydenta wskazuje narodom agresywnym, że ich własne czyny doprowadzają do potępienia ich przez opinię amerykańską. Ostrzega ona narody agresywne, że Stany Zjednoczone posiadają zainteresowania i poza swymi granicami, że posiadają one poważne przyczyny, skłaniające je do żądania, by prawo międzynarodowe było przestrzegane, a ustrój demokratyczny, tam gdzie on istnieje, zachowany. Trzeba, żeby wiedziano, że w każdym wypadku brutalności, prześladowań, nie przestrzegania prawa, w każdym wypadku, kiedy dyktatury połączą się przeciwko tym, którzy znajdują się w stanie legalnej samoobrony, kiedy wystąpią przeciwko demokracjom, że w każdym takim wypadku Amerykanie wiedzą dobrze, po której stronie staną.

Trzeba, aby demokracje wiedziały, że Stany Zjednoczone porzucają swą dotychczasową izolację...".

„NEW-YORK TIMES".

„Stany Zjednoczone staną po stronie Anglii i Francji w dniu, kiedy trzeba będzie dokonać wielkiego, rozstrzygającego wyboru".

Sen. *BERENGER*.

„Prezydent Roosevelt nie występował zdecydowanie, gdyż uważał, że metody stosowane przez rządy angielski i francuski, to, co nazywano „doświadczeniem Chamberlaina", nie pozwalają mu uzyskać zgody narodu amerykańskiego na takie wystąpienie. Opinia amerykańska widzi w Europie tylko przeciwieństwo pomiędzy krajami wolnościowymi a krajami totalnymi. Trzeba jawnego uznania tego przeciwieństwa i jego ciągłego podkreślania, bez jakichkolwiek osłabień, aby opinia amerykańska poszła za prezydentem Rooseveltem. Tymczasem „doświadczenie Chamberlaina" polega właśnie na zaprzeczeniu istnienia takiego przeciwieństwa. Dopiero obecnie, kiedy zaostrzenie stosunków międzynarodowych, nadzwyczajne zarządzenia wojskowe Niemiec itd. nadają sprawom europejskim kierunek zgodny z założeniami prezydenta, Roosevelt może powiedzieć swym rodakom, że wziąć udział w walce, która toczy się w Europie, znaczy to poprzeć sprawę tych swobód indywidualnych i politycznych, które każdy Amerykanin ma we krwi".

„AGENCE ECONOMIQUE ET FINANCIERE" (organ francuskiej opozycji prawicowej).

„Rozumiemy potrzebę wspólnej polityki obu mocarstw anglosaskich. Ale Niemcy życzą sobie gorąco, aby ta polityka przemawiała innym tonem, niż ten, który coraz donośniej dochodzi nas ze Stanów Zjednoczonych.... Chce się podzielić świat na dobre owieczki i złe kozły, karci się „agresorów", przeciwstawia się polityce siły jednych wolę pokoju drugich. Ideał prawa międzynarodowego wypisany jest na chorągwi Stanów Zjednoczonych, po drugiej stronie widać tylko ciemne sztandary przemocy...

Jeżeli Ameryka popadnie w stary błąd sądzenia obyczajów innych, to mało jest nadziei, by doszło do stworzenia lepszego porządku międzynarodowego. Uważamy za wysoce niebezpieczne, kiedy czołowi mężowie stanu Ameryki pogłębiają różnice światopoglądowe pomiędzy narodami aż do ostateczności".

„FRANKFURTER ZEITUNG".

„Podawać amerykański „ideał wolności osobistej" za panaceum dla chorób całej reszty świata, przedstawiać „cenne amerykańskie instytucje polityczne i społeczne", jako najwyższe dziedzictwo ludzkości, najbardziej godne obrony i najbardziej potrzebujące obrony, wszystko to oznacza ciasnotę widnokręgu, która nie wywrze bynajmniej szczególnego wrażenia na narodach: wierzących w podporządkowanie jednostki interesom całości narodu".

DEUTSCHE DIPLOMATISCH-POLITISCHE KORRESPONDENZ (organ Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy).

„Naród amerykański chce mówić o brutalności! Mówić o brutalności w kraju gangsterów to tak jakby mówić o stryczku w domu powieszonego! Jeżeli jest kraj, który nie powinien nigdy wymawiać imienia cywilizacji, to jest to napewno Ameryka, która w wielkich godzinach Historii nie myślała nigdy i o niczym innym, jak tylko o pieniądzach".

„IL RESTO DEL CARLINO" (organ faszyzmu włoskiego).

ANGLIA NIE POZOSTANIE OBOJĘTNA...

„Jest rzeczą zrozumiałą, że rząd brytyjski zwraca w odpowiednim czasie uwagę wszystkich na fakt, że gdyby wojna wybuchła, byłoby może trudnym ograniczenie jej, zlokalizowanie jej, i że, podług wyrażenia premiera Chamberlaina, nieodparty nacisk faktów mógłby być silniejszy od formalnych zobowiązań, zwłaszcza gdy chodzi o dwa kraje, tak ściśle ze sobą związane, jak Francja i Wielka Brytania. Nie jest to groźba a tylko lojalne ostrzeżenie przed ryzykiem, związanym z wszelką polityką awantury".

„LE TEMPS".

„Żaden Amerykanin nie może zlekceważyć znaczenia dyskretnej aluzji min. Simona, kiedy wspomniał o mowach prezydenta Roosevelta i sekretarza stanu Hulla. Stanowi ona prośbę o pomoc, skierowaną do Stanów Zjednoczonych na wypadek katastrofy i zarazem zręczny sposób dołączenia groźby interwencji amerykańskiej do rzeczywistości brytyjskiego ostrzeżenia, aby w ten sposób uniknąć najgorszego. Zwrot ten zresztą był w zupełności słuszny. Mamy pełną nadzieję, że Stany nie znajdą się w roku bieżącym w obliczu tak straszliwej konieczności. Ale trzeba sobie z tego zdawać sprawę: Stany Zjednoczone są już zaangażowane w kompleks spraw europejskich".

„NEW YORK HERALD TRIBUNE".

„Dobry dzień dla pokoju! Fakt, że Anglia zadeklarowała wyraźnie swe stanowisko w tej ciężkiej sytuacji, zmniejsza poważnie niebezpieczeństwo zbrojnego konfliktu. Jeżeli ci, którzy liczyli na szybkie zwycięstwo, zwycięstwo osiągnięte dzięki brako-

wi interwencji ze strony innych państw, stwierdzą, że ich rachuby by.y fałszywe, to będą oni mniej skłonni do ryzykowania konfliktów".

„NEWS CHRONICLE".

„Manewry niemieckie stworzyły nieznośne naprężenie w całej Europie. Niemcy odrzucają wszystkie próby złagodzenia rosnących trudności. Staje się coraz wyraźniejszym, że dyktatorzy nie rozumieją angielskich metod rokowań i kompromisów. Nie pozostawmy im więc żadnej wąpliwości co do zasad, których będziemy bronić...

Kiedy cała cywilizacja europejska zagrożona jest uzgodnioną i uplanowaną z góry agresją, trzeba aby rząd brytyjski sprecyzował swe stanowisko, unikając najmniejszego nieporozumienia i uprzedzając, że, skoro zdecyduje się na interwencję, będzie to interwencja skuteczna.

„YORKSHIRE POST" (organ min. Edena).

„Niemcy nie są zagrożone przez nikogo. Niemcy nie boją się nikogo. A mimo to Niemcy zmobilizowały 1,5 mil. ludzi. Kosztuje to je przynajmniej 5—600 tys. ft. szt. dziennie, tzn. ponad 30 mil. ft. w ciągu dwu miesięcy. Sumę tę wyciska się z kraju, którego finanse i tak już są w trudnej sytuacji i którego ludność od długiego czasu żyje w warunkach wojennych.

Zdaje mi się, że te wielkie ilości ludzi zostały zmobilizowane w celu osiągnięcia pewnych rozstrzygnięć w czasie możliwie krótkim. Historyjki, sfabrykowane w sposób oczywisty, o rzekomej rewolcie marksistów w Czechosłowacji, dyrektywy wydane Niemcom sudeckim, by się uzbroili i bronili, są symptomami niepokojącymi, analogicznymi do tych, które poprzedziły podbój Austrii. Być może, Europa i świat cywilizowany staną w obliczu jakiejś nagłej i gwałtownej akcji niemieckiej partii nazistowskiej, akcji, której celem będzie okupacja i ujarzmienie Czechosłowacji.

Próba tego rodzaju stanowiłaby atak nie tylko na Czechosłowację. Byłaby to zbrodnia wobec cywilizacji i wobec wolności całego świata. Każdy kraj pytałby się: na kogo przyjdzie kolej teraz?

Byłoby błędem, gdyby mocarstwa zagraniczne przypuszczały, iż Wielka Brytania nie jest już więcej w stanie, jeśli zajdzie tego potrzeba, walczyć u boku innych narodów w obronie zasad ludzkości...".

WINSTON CHURCHILL.

„Rząd niemiecki nie może już mieć wątpliwości co do poglądu angielskiego na ewentualne następstwa nagłego wystąpienia wojskowego, gdyby zostało ono dokonane w środkowej Europie. Ton komentarzy berlińskich wskazuje, że ten sens mowy został należycie zrozumiany w stolicy Rzeszy".

„FINANCIAL TIMES (konserwatywny).

„Niemcy, decydując się na akcję militarną, ryzykują zaplątanie się w wojnę z Rosją, Francją i Imperium Brytyjskim, mającym poparcie nie obliczalnej i druzgocącej potęgi moralnej i materialnej, jaką stanowią Stany Zjednoczone. Jeśli przywódcy nacjonalsocjalistyczni liczą na bierność Anglii i Francji w razie napadu niemieckiego na Czechosłowację, popełniają straszliwą pomyłkę kalkulacyjną, która musi być poprawiona, zanim będzie za późno".

„DAILY TELEGRAPH" (organ konserwatystów).

„Sir John Simon powołał się na oświadczenie rządowe z dnia 24 maja. Oświadczenie to, mimo wszystkich odcieni, właściwych dyplomacji angielskiej, może być zrozumiane tylko w jeden sposób. Gdyby doszło do ostateczności, to Anglia wie, po której stronie stanie. Niema wprawdzie w tej sprawie formalnych zobowiązań. Ale, kiedy idzie o wojnę i pokój, decydują nie tylko same zobowiązania traktatowe".

„FRANKFURTER ZEITUNG".

„Nigdy nie przypuszczaliśmy, że ze źródeł oficjalnych padnie, bez rozpatrzenia sprawy, wyrok, któryby do tego stopnia daleki był od rzeczywistości i sprawiedliwości".

„BERLINER BOERSEN-ZEITUNG".

„Mowa Sir Simona wzmocni nieustępliwość Czechów i doda otuchy zwolennikom wojny w obozie czechosłowackim. Gdyby Sir Simon chciał osiągnąć ten cel, nie mógłby mówić inaczej".

„VOELKISCHER BEOBACHTER".

Czołowy organ demokracji

O prymat prasy ideowej

Każdy wrażliwy i krytyczny czytelnik, wyzwalający się z nawykowego myślenia, bierze z odrazą do ręki krzykliwe i sensacyjne dzienniki. Same nagłówki wzmianek i artykulików w brukowcach, mające wzmóc ciekawość niewybrednego czytelnika, dają jakby skrót obrazów koszmarnego snu lub halucynacyj osobnika, dotkniętego atakiem białej gorączki.

Czyż można bez melancholii obserwować, jak wyziewy myśli buchające z pałaców prasy brukowej, oddziaływają co dnia na umysły miliona czytelników, kształtują ich wyobrażenia, oraz urabiają treść pojęć i sądów o rzeczach?

Jakich piekących słów i określeń musiałby dziś użyć szlachetny Baudelaire dla wyrażenia całej swojej pogardy myślącego człowieka na widok tego gatunku literatury, skoro już kilkadziesiąt lat temu napiętnował ją takimi słowami: „Każdy dziennik, od pierwszego wiersza do ostatniego, jest jeno stekiem ohydy. Wojny, przestępstwa, rabunki, katusze, wyuzdanie, zbrodnie królów, zbrodnie ludów, zbrodnie jednostek, — wszechświatowy szał okropności".

„I ten to wstrętny przysmak człowiek cywilizowany spożywa przy posiłku każdego rana. Wszystko w tym świecie mówi o zbrodni: ściana, dziennik, twarz ludzka. Nie pojmuję, jak czysta ręka może dotknąć dziennika bez skurczu odrazy".

Tyle mówi Baudelaire. Od dnia jego śmierci minęło już z górą lat 70. Dziś zaś już nie tylko rano przy posiłku, lecz trzy lub nawet cztery razy dzien-

nie wdycha i wchłania w siebie nieszczęsny czytelnik trujące wyziewy zbrodni i zgnilizny. Ale ustalając i z właściwych stanowisk oceniając te rzeczy, trudno mimo wszystko być pesymistą, łatwo więc będzie zgodzić się z sądem głęboko słusznym, wypowiedzianym w tym samym przedmiocie przez Tadeusza Stępniewskiego: „ileż czystości, szlachetności, jak bezcenne skarby dobra, prawdy i piękna kryją się w naturze człowieka, jeśli nawet wytężona ofensywa plugawstwa i ohydy brukowców nie zdołała wytrawić doszczętnie cnót z serca czytelników".

Ale Baudelaire, mówiąc, że nie pojmuje, „jak czysta ręka może dotknąć dziennika bez skurczu odrazy", pominął znaczenie i wartość pism, walczących o idee. Widział tylko plony z posiewu wilczych nasion bezmyślności i plugastwa, nie miał zaś możności oglądać wschodów i pędów z posiewu doborowych ziarn myśli i posłannictwa. Kto nie przeżył nocy niewoli, dławiącej mózg i duszę narodu, pozbawiającej go nawet prawa do mowy ojczystej, ten nie ogarnie i nie pojmie olbrzymiego znaczenia pism, tajemnie drukowanych, niosących światło i dźwięk wolności. Któż z nas nie pamięta tego napięcia i nastroju oczekiwania w dnie, kiedy nadejść miały nowe numery „Przedświtu" lub „Robotnika", albo potem tych godzin gorączkowego czytania z wypiekami na twarzy samotnie lub pospólnie w kółkach uczniowskich, w klubach młodzieży niepodległościowo-socjalistycznej, mających siedziby zamaskowane w kawiarenkach na krańcach miasta, albo czytania w zakamarkach fabrycznych lub nawet w murach Cytadeli i Pawiaka?

Trudno tu nad tym się dzisiaj rozwodzić lub pisać wspomnienia. Ale gdy obecnie w naszym życiu prymat deprawacji moralnej i umysłowej osiągnęła prasa brukowa, gdy ponownie wobec przyboru obskurantyzmu i reakcji wyrasta zagadnienie czystego i ideowego słowa drukowanego, wzrok mimowoli zwraca się ku wypróbowanej reducie wolności, patriotyzmu i sprawiedliwości społecznej. Zwraca się ku **„Robotnikowi"**, ku pismu, którego chlubne półwiekowe niemal dzieje stanowią nie tylko świetną tradycję walki i twórczości ideowej, ale jednocześnie życiową legitymację znakomitego pocztu jego redaktorów i współpracowników.

Już same losy zewnętrzne „Robotnika", jego zwycięstwa i klęski, tryumfy i zawody są wiernym odbiciem bohaterskiej walki, toczonej przez obóz demokracji polskiej o wolność Polski i o wyzwolenie człowieka w Polsce.

Pierwsza (nielegalna) drukarnia „Robotnika" mieściła się w miasteczku Lipniszki, powiatu oszmiańskiego, przy aptece Parniewskiego. Przetrwała tutaj od lipca 1894 do początku 1895 r. Stąd wypuszczono w świat Nr.Nr. 1 — 6, liczących po 12 stronic i nakładu średnio 1500 egzemplarzy. Redakcję pisma tworzył formalnie ówczesny Centralny Komitet P. P. S. w osobach: Józefa Piłsudskiego, Stanisława Wojciechowskiego, J. Grabowskiego, Wacława Klimowicza, Jana Stróżeckiego. Rzeczywistym redaktorem był jednak Józef Piłsudski, najbliższymi zaś współpracownikami: Kazimierz Pietkiewicz i Jan Stróżecki, zecerem Władysław Głowacki, później — Stanisław Wojciechowski..

Druga drukarnia „Robotnika" mieściła się w Wilnie, do końca 1898 r. W tym okresie wytrwałymi redaktorami byli naprzemian Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski.

Trzecią była sławna drukarnia w Łodzi przy ul. Wschodniej (obecna ulica Piłsudskiego) pod Nr 19 m. 4 — czynna od czerwca 1899 do lutego 1900 r. W lokalu drukarni mieszkali Józef Piłsudski ze swą małżonką Marią, redaktorem był Józef Piłsudski, najbliższym współpracownikiem i zecerem Karol Rożnowski. W tej drukarni wyszły Nr.Nr. 24 — 35, z których ostatni ukazał się w liczbie 1600 egzemplarzy. W nocy z dnia 21 na 22 lutego 1900 r. po długich i żmudnych poszukiwaniach żandarmi wzięli redakcję i przygotowany już do druku Nr 36. Ten numer, oraz Nr 37, zredagowane i prawie w całości napisane przez Stanisława Wojciechowskiego, zostały wydrukowane już zagranicą, w londyńskiej drukarni P. P. S.

Czwarta drukarnia nielegalna „Robotnika" mieściła się w Kijowie przy ulicy Lwowskiej od maja do grudnia 1901 r. Stąd wyszły w świat Nr.Nr. 38 i 39 w liczbie po 1800 egzemplarzy pod redakcją Feliksa Perla i składane przez Jana Rutkiewicza. W końcu 1901 r. przeniesiono tę drukarnię z trudnościami do nowej siedziby, także przy ulicy Lwowskiej w Kijowie, gdzie wydano NrNr 40—48 pod redakcją Feliksa Perla i przy współpracy Jana Rutkiewicza i Ludwika Wernyhory, jako zecerów. Była to piąta nielegalna kryjówka redakcji, administracji i drukarni „Robotnika", szósta zaś mieściła się w Rydze, przy ul. Suworowskiej pod Nr 51, gdzie mieszkał Feliks Perl z małżonką Teresą, posługując się paszportem na nazwisko inżyniera-technologa Jasińskiego. „Robotnik" wychodził tutaj do sierpnia 1904 r. pod tą samą redakcją. Ludwika Wernyhorę zastąpił ku końcowi tego okresu Józef Ciągliński. Ostatni numer ryski przygotowali do druku Romuald Minkiewicz i Józef Kwiatek.

W 1905 r. „Robotnik" wychodzi już w Warszawie, przez jakiś czas potajemnie w drukarni Maślankiewicza w nakładzie 35 tysięcy egzemplarzy, w 1906 r. ukazuje się już jako dziennik w liczbie 25—30 tysięcy egzemplarzy.*) Trudno tutaj odtwarzać szczegółowo dzieje „Robotnika", albo wymieniać wszystkich jego redaktorów i główniejszych współpracowników. Stwierdzić tylko trzeba, że dziś po latach z górą czterdziestu porządkowy numer „Robotnika" wskazuje cyfrę 7510, redaktorem naczelnym pozostaje niezmiennie po śmierci Feliksa Perla — Mieczysław Niedziałkowski, czołowym zaś publicystą — Kazimierz Czapiński. Stwierdzić także trzeba, że oprócz redaktorów i pisarzy, którzy na swych ramionach dźwignęli „Robotnika" i po pioniersku torowali mu drogę w ówczesnym życiu polskim, garnęły się do pisma wszystkie niemal wybitne pióra i osobistości ze środowiska niepodległościowo-socjalistycznego.

Kto dałby się unieść wyobraźni i pobiegł w przeszłość historycznym szlakiem „Robotnika", w głębokie mroki niewoli, ujrzałby długie jasne pasmo heroicznych wysiłków, poświęcenia ideowego i osobistych wyrzeczeń ludzi, tworzących dzieło przyszłości. Ujrzałby ludzi podziemnych, którzy doceniając wagę

---

*) Dane te czerpię z sumiennej, źródłowej i wyczerpującej pracy *Żanny Korman* pt. „Materiały do bibliografii druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866—1918 r.". Warszawa 1935. Nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

słowa drukowanego, nabrzmiałego pragnieniem wolności, zakładają w ukryciu z niczego i własnymi rękami zakłady drukarskie. Widziałby jak pracują gorączkowo pod groźbą nieuniknionej zagłady, tłumiąc podejrzane odgłosy obrotowego koła maszyny, nasłuchując dniem i nocą odgłosów od proga. Pracują pośpiesznie, z pragnieniem wykonania jak największej roboty, nim ją odkryją, nim wybije godzina, kiedy czyhające widma za oknem ucieleśnią się i zjawią u wejścia, dzwoniąc hiobowo ostrogami żandarskimi.

Zburzone nagle dzieło mrówczego mozołu, odradza się gdzieindziej, by znów podzielić los poprzedniego, i tak — dziesięciokrotnie. Zabranych pracowników jutra, zastępują bezzwłocznie inni. To jest życiowy rodowód „Robotnika". Duch pisma, służącego idei, przypomina ducha człowieka, obdarzonego iskrą prometejską, który wyprzedza pochód ludzkości i stara się, według wspaniałego określenia Nałkowskiego, nagiąć swoje środowisko ku swym wielkim pragnieniom, porwać za sobą ku swym dostrzeganym lub przeczuwanym dalekim horyzontom, wznieść ku swym wysokim ideałom.

Gdy zaś wybiła godzina niepodległości, „Robotnik" z podziemi konspiracji, z nielegalnych kryjówek, stanął w świetle dnia na gruncie rzeczywistości demokratycznej. A kiedy przyszła godzina próby, kiedy znalazła się w niebezpieczeństwie, tyloma ofiarami okupiona demokracja, kiedy zdradzali starzy towarzysze i przyjaciele, kiedy załamywali się słabsi i mniej wytrwali... „Robotnik" nie załamał się, nie sprzeniewierzył się swoim ideałom i nie zdradził sztandaru. Przez długich lat dwanaście trwa niewzruszenie na swojej reducie.

Cóż więc dziwnego, że wobec tych pięknych, wciąż świeżych kart, zapisanych zasługą i wiernością dla zasad wolności, „Robotnik" pozostaje czołowym dziennikiem demokracji polskiej.

HENRYK LUKREC.

Najnowsze książki

UŁAS SAMCZUK: „WOŁYŃ"

Tow. Wydawnicze „Rój", przełożył Tadeusz Hollender. Warszawa, 1938.

Rozległa równina, wzniesiona nieco na południu i gubiąca się hen na północy na granicy bagien poleskich... Pocięta pasmami uprawnych pól i pasmami borów, pozostałych jeszcze z wielkiego wołyńskiego pralasu... Ziemia stara, prastara i lud na niej prastary — twardy, spokojny, pochmurny, powolny o duszy jednak szerokiej jak otaczająca go natura, z którą zrósł się od wieków, w harmonijną całość....

Odwiecznym szlakiem pędziły tu niegdyś hordy tatarskie „ciągnęły komuniki Chmielnickiego — rozpędzając stada zdziczałych wron"...

„Jakież tu pole! A jaki las a niebo! Alboż jest jeszcze gdzie takie niebo?" — Niema! Chłop z pod Dermania czy Hulczy był o tem święcie przekonany.

On karłowaty potomek swych wielkich przodków, którzy przybyli tu dawno, przed tatarami, którzy mieli swych kniaziów, swe osady, swe zamki i szkoły" „skoro tylko zgiął raz szyję w niewoli tak i pozostał już niewolnikiem".

Niewolnikiem wciąż nowych panów i niewolnikiem ziemi w którą wrósł korzeniami i ukochał nad wszystko.

Tatarzy, wielcy magnaci polscy, Rosjanie—wszyscy pokolei wykazywali tu swą władzę i przewagę... Nawet Żydzi i czescy koloniści przybyli z Austrowęgier w celu podnoszenia kultury rolnej.

A on biedny, szary, ciemny chłop płacący zawsze komuś podatki, zawsze przez kogoś wyzyskany trwał jednak nadal wśród nawałnicy ścierających się wpływów, zrośnięty tylko z ziemią, w duszy wciąż ten sam—niczyj... Nie Rosjanin, Polak, czy Ukrainiec — to były narodowości, a on był poprostu „tutosznij" — tutejszy—

Za pięćdziesiąt wiorst na tym samym jeszcze Wołyniu chłopu z pod Dermania np. wszystko już było nie takie i powietrze i ziemia i ludzie... Na swych kilku dziesięcinach pociętych miedzami, dzielonych do nieskończoności pośród licznych członków rodziny siedział w nędzy, nie ośmielając się jednak ruszyć gdzieś dalej gdzie i ziemi było więcej i żyć było-by lżej... Kto-by „chciał rzucać stare gniazdo i ojcowiznę: wieś, cerkiew, mogiłki i iść Bóg wie gdzie w obcą obczyznę" — chociażby ta obczyzna była na tym samym Wołyniu w odległości 50 wiorst. I trzeba dopiero wysiłku i energii takiego chłopa jak Matwij by wyciągnąć lud z nędzy i podźwignąć ku lepszemu jutru. A przecież nie był to naród o ślepych i niskich instynktach, naród kretynów, byli to zwykli ludzie czasem głupi i źli czasem mądrzy i wielcy i jak ów Wołodko chciwi światła i wiedzy.

Jest coś żywiołowego w tym porywie Wołodki w tej jego chciwości poznania co zadziwia czytelnika swą bezpośredniością. Czuje się tu potęgę jasnego, zdrowego rozumu i inteligencji przyrodzonej — wzbudzające sympatię i podziw.

Bo „Wołod'ko pochodzi z tych, którzy z samego dna, z mroku, z gnoju i nie wiedzieć z jakiej nędzy wydostają sie na wierzch dumnie podnosząc głowę".

Tacy jak on i jak Matwij prowadzą z marazmu i martwoty ku wielkości, dzięki nim „rodzi się i roznosi w przestrzeń władcza pieśń szerokopierśnych dzieci przyszłości"....

Z obojętności cechującej przedwojennego chłopa budzić się zaczyna świadomość. Podobnie jak Wołod'ko którego dumę nurtują wiecznie nowe pytania — przechodzi on z dzieciectwa do dojrzałości. I może jak ów Ilja Muromiec o którym czytał legendę mały Dowbenko odkryje w sobie olbrzymią siłę i zacznie chodzić...

O powieści Samczuka można wypowiedzieć się jedynie z wielkim uznaniem, jako o rzeczy wartościowej dającej coś czytelnikowi — napisanej z wielkim talentem i znawstwem rzeczy. Niema w niej nic ze sztuczności i efektu, niema świadomego czy nieświadomego kłamstwa a jest rzeczywistość. Czytając ją, człowiek uczy się i odpoczywa — to jest prawdziwa literatura.

NATALIA WIŚNIEWSKA

JAMES MORIER.

PRZYGODY CHADŻI BABY

T-wo Wydawnicze „Rój", Warszawa 1938

Ależ ucieszny jest ten isahański chłopak. Autor wpadł na szczęśliwy pomysł. Zamiast, jak inni pisarze, nudzić czytelnika kroniką swej podróży po egzotycznym kraju, wcielił się w swego bohatera, przyoblekł oryginalny wchodni strój i uzbrojony w dowcip i wielką

umiejętność obserwacji, rozpoczął wędrówkę przez zakamarki życia i obyczajów Persji.

Zaśmiewając się czasem do łez i zawsze współczując sympatycznemu awanturnikowi, nie umiemy się z nim rozstać ani na jeden moment aż do ostatniej strony tego barwnego romansu - pamiętnika.

Chadżi jest synem golarza. Zdawałoby się, że ten cieszący się powszechnym poważaniem mieszkańców Isfahanu zawod, przejdzie godnie z rąk ojca na syna. Ale któż wie, jaki los mu gotuje Allah. Wierny jego sługa Chadżi choć już całkiem nieźle golił głowy kupców i mułłów, nagle musi porzucić dom rodzicielski. Jadąc z karawaną handlową z Terehanu, dostaje się do niewoli. Udaje mu się uciec. Lecz jakieś obłędne przeznaczenie nie pozwala mu odtąd nigdzie zagrzać długo miejsca. Próbuje szczęścia w różnych zawodach. Staje się kolejno nosiwodą, sprzedawcą tytoniu a wreszcie nawet... derwiszem, będąc dostatecznie bezwstydnym i bezczelnym, by sprostać obowiązkom tego stanu. Nie tutaj jednak kończy się kariera Chadżi Baby. Wkrótce widzimy go na dworze Szacha w roli lekarza i policjanta. Los jednak uwziął się. Gdy po wielu przygodach, Chadżi dostępuje łaski świątobliwego teologa i pragnie za jego pomocą wstąpić na drogę cnotliwego życia, wpada z tej protekcji na człowieka, który posyła go na poszukiwanie kawalerów dla starych bab i rozgraminie domów spokojnych mieszkańców. Skutki są takie, że zostaje obity i wypędzony z miasta. Jednak przeznaczenie widocznie sprzyja łajdakom, nasz Chadżi bowiem w rezultacie robi karierę jako dyplomata. Autor, wyborny narrator nie pozwala nam ani przez chwilę się nudzić. Mając wrodzony dar humoru i zdolność karykaturalnego widzenia umie wyszperać wszędzie komizm, a już skoro go dostrzeże, natychmiast po mistrzowsku wydobędzie i naświetli. Książka wydana po raz pierwszy przed 100 laty została uznana przez dwór Szacha za obraźliwą satyrę. W istocie, autor nie oszczędził w niej nic i nikogo. W jej ogniu znalazły się wszystkie warstwy, zarówno kupcy, jak i lekarze, duchowieństwo i dwór. Autor podjął śmiałą próbę i wykonał ją doskonale. Ukazał na chwilę bolesną i komiczną twarz zagadkowego Wschodu.

Książka, będąca kiedyś rewelacją, spotka się i dziś z niemniejszym zainteresowaniem. Śmiech bowiem i humor są zawsze aktualne.

Władysław Romanowski.

IGNACY FIK: O ŻYWĄ TREŚĆ DEMOKRACJI

Katowice 1938 — Wyd. Klubu Demokratycznego w Katowicach — Cena 50 gr.

Na trzydziestu pięciu niedużych stroniczkach autor, oryginalny, twórczy krytyk literacki i zdolny poeta, rozważa podstawowe społeczno - kulturalne zagadnienia demokracji i humanizmu. Wychodzi z założenia, że istotny problem „leży nie tyle w decyzji, czy być demokratą i czy demokracja jest dobra, ale w rozstrzygnięciu, jaka demokracja jest dobra i jakim być demokratą". Demokracja formalna, wyłącznie polityczna, nie zabezpiecza przecież trwale tego, co jest jej historycznym zadaniem. Dlatego tylko zasadnicza przebudowa społeczno-kulturalna w kierunku rzeczywiście demokratycznym przekreśla raz na zawsze wszelkie możliwości zwycięstwa prądów wstecznych: „Tylko likwidacja samych warunków, z których wyrastają siły antydemokratyczne, zapewnić jej może rzeczywiste panowanie". Społeczno - kulturalna treść demokracji jest historycznie zmienna i zależy w każdym stadium procesu dziejowego od panujących wtedy, konkretnych warunków współżycia ludzkiego, od ustroju społecznego, którego wyrazem jest każdorazowy ustrój polityczny. Ale, stosując ‚socjologiczną", czyli z istoty swej abstrakcyjną i metafizyczną, metodę analizy, Fik nie obronił się przed pokusą szukania absolutnych i w gruncie rzeczy pozahistorycznych „typów kultury", które — jak sądzi — odnalazł w typie „hinduskim" (indywidualizm), „mongolskim" (absolutna wszechwładza gromady) i „zachodnio - europejskim" (harmonia obu pierwiastków). Ten ostatni jest w założeniu „typem" kulturalnym demokracji. Przyznajemy, że schemat ten nie trafia nam do przekonania. Sądzimy zresztą, że wina leży nie po stronie autora, lecz obarcza samą „socjologię", przed którą zawsze należy się mieć na baczności, gdy się pragnie dokonać istotnie naukowej, realistycznej analizy zjawisk dziejowych i społecznych.

I jeżeli na całość pracy Fika te socjologiczne schematy nie wywarły ujemnego wpływu, to stało się to dlatego, że autor na dalszych stronicach faktycznie porzuca „socjologiczny" punkt widzenia i przechodzi na stanowisko realistyczne, t. zn. konkretnie społeczno-kulturalne i polityczne. Rozumiejąc, jak zaznaczyliśmy wyżej, realne warunki ostatecznego zwycięstwa demokracji społeczno - kulturalnej, Fik równie dobrze rozumie i akcentuje celowość i konieczność walki o demokrację polityczną w dobie obecnej. A przez to odgradza się stanowczo od tych wszystkich, którzy pod płaszczykiem bardzo na pozór ‚radykalnej" czy nawet zgoła „rewolucyjnej" krytyki parlamentaryzmu (demoliberalizm!) przemycają i realizują koncepcje elitarne, antydemokratyczne. Oczywiście i tu niektóre sformułowania autora budzą wątpliwości — przynajmniej co do tego, jak należy je rozumieć. Np. takie zdanie: „W demokracji ma większą rację dziesięć procent pokrzywdzonych, niż dziewięćdziesiąt procent krzywdzących". Fik ma tu na myśli antysemityzm. Cóż jednak oznacza ta zasada, postawiona przez niego w sensie absolutnym? Albo inna teza: „Zrealizowany syndykalizm byłby stuprocentowym wcieleniem demokracji".

Ale i te niejasne sformułowania nie umniejszyły dużej wartości całokształtu poglądów Fika. Oto np. trafne ujęcie różnicy między demokratyczną a reakcyjną koncepcją elity i wodza: „Pojęcie elity wiąże demokracja najogólniej i ramowo z klasami w ścisłym tego słowa znaczeniu (robotnik, chłop)... Wszystko, co udało się demokracji spełnić, okupione zostało wysiłkiem i krwią tych właśnie klas. Dla demokracji warstwy te są hierarchicznie wyższe i ważniejsze..." I dalej: „W obrębie wyróżnionych klas społecznych rolę dokładniej i realniej sprecyzowanej elity — zwłaszcza w okresie walki — sprawuje *polityczna partia*, będąca obiektywną manifestacją ustalającej się świadomości i woli społecznej klas ludowych. A wreszcie najściślejszą awangardę stanowi zespół wszystkich działaczy, przewodników, teoretyków, wodzów i bohaterów demokracji". Sformułowanie takie nie pozostawia już furtki dla żadnych „syndykalistycznych" interpretacyj, zmierzających zawsze do odpolitycznienia, odpartyjnienia, to znaczy — rozbrojenia demokratycznych dążeń świata pracy. Rozprawka Fika stanowi sumienny i oryginalny wkład w teoretyczny dorobek demokracji polskiej.

M. JORDAN

Na widowni polskiej i światowej

ZGRZYTY

Spółdzielczość cieszy się u nas, jak zresztą wszędzie, najserdeczniejszym poparciem całego obozu demokratycznego. Obóz ten pamięta, że nie tylko początki spółdzielczości wiążą się jak najściślej z początkami nowoczesnych ruchów demokratycznych, ale że, co więcej, podstawowe zasady spółdzielczości: współpraca przy równości wszystkich, pełna swoboda uczestników do decydowania o losie wspólnej placówki, są zarazem podstawowymi zasadami wszelkiej demokracji, że spółdzielczość wychowuje typ człowieka, który z natury warunków, w jakich żyje, predestynowany jest na demokratę.

Tym bardziej jest rzeczą przykrą, kiedy właśnie na tym odcinku reakcyjne elementy wprowadzają niepotrzebne i przykre zgrzyty. Oto w Żyrardowie grupie oenerowskich agitatorów udało się opanować jedną ze spółdzielni i wprowadzić do niej warunki pracy, o jakich marzą, być może, pewni magnaci kartelowi, finansujący z ukrycia „ruch" oenerowy. Ob. Stankiewicz, młody działacz chłopski, sam spółdzielca, podaje nam, w liście do redakcji, wstrząsające wprost dane o warunkach pracy w tej spółdzielni. Czternastogodzinna praca w sklepie, płatna po 100—150 zł miesięcznie, zarobki robotnika - furgonisty pracującego od 1 w nocy do 9 rano (osiem godzin nocnej pracy na dobę), sięgające aż 10 (dosłownie dziesięciu!) zł tygodniowo, to fakty, które byłyby oburzające w każdym kapitalistycznym przedsiębiorstwie, a cóż dopiero w spółdzielni, mającej przecież świecić przykładem innym pracodawcom. A przecież fakty te potwierdzone zostały nie tylko przez prasę robotniczą, ale i przez naczelny organ Unii Pracowników Umysłowych „Ruch Pracowniczy".

Rzecz jasna, że tego rodzaju warunki pracy mogą wprowadzać w spółdzielczość tylko ludzie, którym obcy jest duch spółdzielczości. Wiadomo zresztą, że nasza reakcja jest zasadniczą przeciwniczką spółdzielczości, uważając ją za przeszkodę dla rozwoju tak cenionej przez nią „inicjatywy prywatnej" i „rodzimego mieszczaństwa". Jak w wielu innych wypadkach, tak i tutaj, jest ona wyrazicielką najtępszego kołtuństwa, żerującą na instynktach najbardziej zacofanych warstw drobnomieszczańskich.

Może się zdarzyć, że, w ruchu opartym na autonomii poszczególnych jednostek terenowych, jakim jest ruch spółdzielczy, obce, wrogie elementy opanują jedną z tych jednostek. Ale kiedy te elementy wprowadzą do tego ruchu obce i wręcz sprzeczne z tym ruchem zasady, kiedy dotknięci tego rodzaju praktykami pracownicy chwytają się ostatecznej broni wszystkich wyzyskiwanych: strajku, to co najmniej dziwnym się wydaje, że władze centralne ruchu spółdzielczego, wielokrotnie deklarujące swe przywiązanie do zasad sprawiedliwości społecznej, stanęły nie po stronie pracowników, lecz po stronie zgoła nie spółdzielczego a wyraźnie kapitalistycznego wyzysku. Mamy tu na myśli artykulik „Społem", mówiący o ***„niepotrzebnej*** demonstracji kilkunastu pracowników" i ***„rzekomo*** ciężkich warunkach pracowników spółdzielni żyrardowskich". Być może, że statutowe możliwości nie pozwalały władzom „Społem" na ingerencję w te sprawy. Ale zdaje się nam, że w każdym razie powinny one były zdecydowanie odgraniczyć się, przynajmniej w prasie, od próby wprowadzania Boussacowskich metod do spółdzielczości żyrardowskiej. Możemy sobie artykulik „Społem" wytłumaczyć w jeden tylko sposób: że władze kierownicze „Społem" zostały wprowadzone w błąd nieścisłymi informacjami.

Wydaje się nam jednak, że powinny one obecnie dokładnie skontrolować dostarczone im dane i zająć w tej sprawie wyraźne stanowisko. Wymaga tego dobre imię ruchu spółdzielczego.

LUDOWCY O SWOIM ŚWIĘCIE

Ostatni „Zielony Sztandar" zamieszcza artykuł wstępny ob. J. Grudzińskiego, sekretarza Stronnictwa Ludowego, poświęcony wnioskom z obchodu „Święta Czynu Chłopskiego". Artykuł ten, zdaniem naszym, zasługuje na jak najbaczniejszą uwagę wszystkich demokratów w Polsce.

Ob. Grudziński stwierdza: „Mimo złej pogody, mimo żniwnego spracowania, w tegorocznych uroczystościach 15-sierpniowych wzięły udział olbrzymie masy ludu wiejskiego, dające się określić nie dziesiątkami, tylko setkami tysięcy. Dzień 15 sierpnia był manifestacją żywiołowości i rozrostu politycznego ruchu chłopskiego".

Ob. Grudziński podkreśla głęboki patriotyzm zorganizowanych politycznie chłopów. „Chłopi, świętując w tym dniu, ślubują, że w obronie granic R. P. zawsze walczyć i umierać są gotowi. Przysięgają na pamięć poległych, że do rozwoju Polski przyczyniać się będą".

Na szczególną uwagę zasługują słowa ob. Grudzińskiego o Obchodzie Czynu Chłopskiego jako wielkiego, wspólnego święta całej demokracji polskiej. „Dzień 15 sierpnia — pisze — był wspaniałą manifestacją jednoczenia się i bratania z ruchem chłopskim innych części polskiej demokracji: ruchu robotniczego oraz ugrupowań inteligencji. Ramię w ramię z chłopami szli w pochodach robotnicy i inteligenci spod znaku P. P. S., robotnicy i inteligenci ze Stronnictwa Pracy, Klubów Demokratycznych itp.". Słusznie ob. Grudziński widzi w tym fakcie dowód zwycięstwa idei demokratycznej w społeczeństwie naszym. „Droga — stwierdza — po której idzie polityczny ruch chłopski stała się już własnością olbrzymiej większości społeczeństwa. Poza tą drogą zostały tylko — osiadłe na skale swej wyłączności i odosobnienia, rzedniejące szeregi endecji oraz, jak lotny piasek, nieuchwytne zastępy „ozonu". Jak słabe są one i nieliczne — o tym również świadczył wymownie tegoroczny dzień 15 sierpnia".

Twardą odprawę daje ob. Grudziński wszystkim tym, którzy chcieliby swymi intrygami poderwać jedność polskiej demokracji, którym nie w smak wzrost świadomości i aktywności mas chłopskich. Pierwsze swe słowa kieruje pod adresem siewców „alarmów i ostrzeżeń, kierowanych przede wszystkim pod adresem chłopów, by się z tymi, lub owymi za blisko nie kumali. Nieproszeni opiekunowie — pisze — i doradcy, nie licząc nałogowych judzicieli i dywersantów, zaklinają chłopów na wszystkie świętości: na chłopską ideę, na kościół i Boga! Dla tych wszystkich odpowiedź mamy jedną: Dziękujemy, ale sami potrafimy się tro-

szczyć o czystość naszej idei i o zbawienie dusz naszych! Wyżej niż całe legiony doradców, stojących na uboczu — cenimy sobie każdą dłoń szczerze do nas wyciągniętą, każdego brata, który razem z nami staje do walki. Drogowskazów nie potrzebujemy — zwłaszcza od tych, którzy często sami po krętych drogach błądzą". Są to słowa wyraźne i dobitne, tym wyraźniejsze, jeśli przypomnimy, że właśnie w ostatnich tygodniach mieliśmy znany incydent krakowski i wiadomą kampanię „Głosu Narodu".

Jeszcze twardszą, jeszcze dobitniejszą odpowiedź ma ob. Grudziński dla endosanatorów, zasiadających w „Gazecie Polskiej", gorszących się ludowcowym „partyjnictwem". „Panów, siedzących za redakcyjnymi biurkami „Gazety Polskiej" — pisze z ironią — wyprowadza z równowagi to, że... chłopi świętowanie rocznic patriotycznych łączą najściślej z troską o to co i jak ma być w życiu Polski współczesnej, że na temat tego współczesnego życia Polski wypowiadają się, że postanawiają walczyć ze złem, gnieżdżącym się w tym życiu..." I odpowiada twardo: „Na ten niepokój panów sanacyjnych nie mamy rady. Z góry oświadczamy, że powodów do tego niepokoju chłopi dostarczać im będą coraz więcej, gdyż nie mają wcale zamiaru wyrzec się swego prawa do zabierania głosu w sprawach życia Polski i kształtowania tego życia zgodnie ze swoimi ideałami: sprawiedliwości i wolności". Piękne, dumne słowa.

UCHWAŁA STR. LUDOWEGO

Drukujemy poniżej tekst ważnej uchwały politycznej N. K. W. Str. Ludowego, która pierwotnie była zajęta przez władze, po zdjęciu zaś konfiskaty ukazała się w prasie codziennej.

„Naczelny Komitet Wykonawczy po dokładnej i sumiennej analizie stosunków doszedł do przekonania, że sytuacja wewnętrzna kraju, zwłaszcza zaś sytuacja na wsi — jest w najwyższym stopniu napięta.

Ciągłe lekceważenie przez obóz rządowy minimalnych chłopskich postulatów politycznych, popartych nie tylko rezolucjami, ale i ofiarami krwi chłopskiej, przy równoczesnym pogarszaniu się warunków gospodarczych w rolnictwie — stwarza stan, w którym kierownicze koła Stronnictwa Ludowego przestają mieć tak moralne prawo do żądania od mas chłopskich dalszej cierpliwości — jak i możność utrzymania ich w ramach uchwalania rezolucji.

Moralna odpowiedzialność za nieuniknione konsekwencje tego stanu rzeczy spaść musi na te czynniki obozu rządowego, które zajęte wewnętrznymi rozgrywkami — nie widzą tego, co się w kraju, a zwłaszcza zaś na wsi dzieje, a zaślepione chęcią utrzymania się przy władzy, lekceważą sobie uczciwe alarmy i ostrzeżenia, dopatrując się w nich taktycznego straszenia ze strony opozycji.

Naczelny Komitet Wykonawczy wobec powagi sytuacji uznał za wskazane zwołanie Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego. Dokładna data zostanie ustalona przez prezydium Stronnictwa w porozumieniu z przewodniczącym Rady Naczelnej".

ZABÓJCZA OPINIA

Cytujemy na innym miejscu oświadczenia amerykańskich mężów stanu, poświęcone sytuacji europejskiej. Pozostaje jednak otwartym pytanie: czy głos ich zostanie poparty przez masy amerykańskie, czy „szary człowiek" Stanów oceni tak, jak oni, wypadki zachodzące w Europie i reaguje na nie tak, jak oni? Wszak Stany to kraj „izolacjonizmu", wszak już raz jeden prezydent Stanów musiał wbrew własnej woli wycofywać się ze wszelkich pozaamerykańskich „commitments".

Pewną, względną, odpowiedź na to pytanie dają ankiety, przeprowadzane przez Amerykański Instytut Opinii Publicznej, kierowany przez wybitnego fachowca, Gallupa. Instytut ten dostarczył już, w szeregu wewnętrzno-amerykańskich zagadnień, wprost zadziwiająco ścisłych odpowiedzi. Dość powiedzieć, że przepowiedział on np. większość prez. Roosevelta z kilkuprocentowym zaledwie odchyleniem.

Instytut ten przeprowadza ankiety również na tematy zagraniczno-polityczne. Ściślej mówiąc na temat poglądów obywateli Stanów na te sprawy. Zacytujmy kilka z nich.

Pytanie: jeśli wojna wybuchnie w Europie i jeśli wojna ta będzie toczyła się pomiędzy Anglią i Francją z jednej, a Niemcami i Włochami z drugiej strony, z kim będzie Pan sympatyzował? Odpowiedź (udzielona w czerwcu 1938 r.): z Anglią i Francją *65% zapytanych*, z Niemcami i Włochami *3% zapytanych*, z nikim 32% zapytanych.

Pytanie: jeśli wybuchnie wojna w Europie, czy Stany powinny i mogą nie brać w niej udziału? Odpowiedź: w listopadzie 1936 r. — *95%* zapytanych uważa neutralność za możliwą i potrzebną, w styczniu 1937 r. — już tylko *62%*, w lipcu 1938 r. — już tylko *54%*.

Pytanie: czy traktat wersalski był za łagodny lub za surowy dla Niemiec? Odpowiedź (w sierpniu 1937 r.): *za łagodny 41%*, za surowy 30%, mniej więcej słuszny 29%.

Pytanie: czy należy Niemcom zwrócić kolonie? Odpowiedź (listopad 1937 r.): *76%*zapytanych odpowiada: *„Nie"*.

Widzimy: awanturnicza, faszystowska polityka „osi" pozbawiła ją gruntownie sympatii obywateli amerykańskich. Odsetek sympatyków „osi" jest o wiele mniejszy, niż odsetek obywateli pochodzących z Włoch lub Niemiec. Twarde oświadczenia prez. Roosevelta czy sekretarza stanu Hulla przeciwko dyktaturom europejskim odbijają wiernie sympatie i poglądy nie tylko czołowych, posiadających rozległe wiadomości polityczne, osobistości amerykańskich, ale również i nastrój amerykańskiego „man in the street".

GESTAPO PRACUJE W STANACH...

Amerykański Komitet Badania Działalności Organizacji Anty-Amerykańskich ogłosił sensacyjne dane o sieci agitacyjno-wywiadowczej hitlerowców w Stanach. Podług tych danych organizacje hitlerowskie w Stanach, liczące 500 tysięcy członków spośród imigrantów niemieckich, stanowią bazę operacyjną wywiadu niemieckiego i punkt oparcia dla działalności sabotażowej w razie wojny. Działalność taką uprawiał, jak wiadomo, p. Franz von Papen, ówczesny attaché poselstwa niemieckiego w latach 1914—1917.

Zdaniem prasy, istnieje pewien związek pomiędzy tymi rewelacjami a projektami rządu, zmierzającymi do zaostrzenia kontroli nad urządzeniami elektrowni i przewodów elektrycznych w przemysłowym okręgu na wschodzie Stanów. Projekty te mają uniemożliwić nabywanie tego rodzaju przedsiębiorstw przez kapitały niepewne politycznie, oraz obejmować szereg zarządzeń dla ochrony przed próbami sabotażu.

Nie tylko w Ameryce wśród obywateli narodowości niemieckiej działają organizacje hitlerowskie i nie tylko w Ameryce kapitał niemiecki interesuje się wybitnie elektrowniami...

POCISKI Z BAZ POKOJOWYCH

Wiadomo ogólnie, że jądro „narodowej" armii hiszpańskiego faszyzmu stanowią bataliony włoskich i niemieckich najemników. Mniej znaną natomiast czytelnikowi polskiemu jest inna forma faszystowskiej „nie-interwencji", o której niedawno wspomniał filo-włoski i filo-hitlerowski „Times" londyński, organ lordowskiej rodziny Astorów, gorących zwolenników porozumienia i współpracy Anglii z Trzecią Rzeszą. Sądzimy, że nawet najbardziej nieufni w stosunku do

informacji niewygodnych dla Faszinternu, nie odmówią wiarogodności głosowi „Times"-a.

„Może uchodzić za fakt w pełni ustalony, że lotnicy lecą z Italii, odbierają bomby na wyspach Balearskich, zrzucają je w Hiszpanii i wracają zaraz potem do swych ojczystych lotnisk. Jest to zupełnie nowa i zgoła niepożądana forma prowadzenia wojny z baz pokojowych". Tyle „Times".

Warto wczytać się uważnie w te słowa. Oto lotnicy mocarstwa, które zobowiązało się do nie-interwencji, nie uważają nawet za potrzebne zgłosić się na „ochotnika" do p. gen. Franco. Nie myślą pozostawać ani przez chwilę, poza czas potrzebny do zrzucenia bomb na bezbronne miasta rządowego zaplecza, w zasięgu wojny, w zasięgu kul przeciwnika. Pozostają nadal w służbie własnej armii. Służą nadal na ojczystych lotniskach. Tylko od czasu do czasu urządzają sobie przejażdżki nad Katalonią. Dla wprawy w rzucaniu bomb. W mordowaniu bezbronnych kobiet i dzieci kraju, z którym ojczyzna ich, armia, której mundur noszą, bynajmniej nie jest w wojnie. A partnerzy ich z Komitetu Nieinterwencji, mocarstwa demokratyczne, Anglia i Francja? Uśmiechają się uprzejmie i — zamykają granicę katalońską dla transportów dział przeciwlotniczych, które mogłyby nieco pohamować zapędy bombowe włoskich eskadr... Całość nazywa się... ratowaniem pokoju.

Do Przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

Od Wydawnictwa

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący prosimy o uregulowanie należności

KSIĄŻKI NADESŁANE

Maria Dąbrowska: Znaki Życia. Opowiadania. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Ignacy Fik: O żywą treść demokracji. Katowice 1938. Wydawnictwo Klubu Demokratycznego w Katowicach.

I. Mori: Jego kariera. Nowele. Skład Główny: Gebethner i Wolff. Warszawa 1938.

"Epoka„

wychodzi trzy razy miesięcznie

dn. 5-go, 15-go, 25-go.

Cena przedpłaty wraz z przesyłką wynosić będzie od 1-go października:

Rocznie zł. 14, półrocznie zł. 7, kwartalnie zł. 3.50, mies. zł. 1.20.

KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5217 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.